



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

1 (14) 1993

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH



OD REDAKCJI	
Czas dla sprawiedliwych	1
Odpowiedź z Kancelarii Prezydenta	3
HISTORIA	
LESZEK WIERZEJSKI	
Stanisławów — Gród Rewery	4
ANDRZEJ CHLIPALSKI	
Lubień Wielki, Morszyn, Niemirów	9
HENRYK BREIT	
Kuty, ormiańskie miasteczko	12
ANDRZEJ M. OLSZEWSKI	
Problemy podtrzymywania świadomości narodowej w stolicy Galicji	14
WSPOMNIENIA	
ANNA NIKLIBORCOWA	
Słów kilka o tajnym nauczaniu	17
WŁADYSŁAWA TOMASZEWSKA	
Dzieje wsi Maruszka	18
BRONISŁAW SZEREMETA	
Zagłada wsi Adamy	19
JERZY MASIOR	
Wiersze	20
EDWARD ŻABIŃSKI	
Szlak polskich żołnierzy września 1939 r.	21
ZDZISŁAW ZIELIŃSKI	
Ród Maszkowskich	22
ADAM SKARBIŃSKI	
Związek Awiatyczny Studentów Politechniki Lwowskiej	24
CZESŁAW E. BLICHARSKI	
Mańku „zy Lwowa” nie doleciał	26
AKTUALNOŚCI	
IRENA ZIELIŃSKA	
Zbieramy pamiątki lwowskie	27
ANDRZEJ OSTOJA-SOLECKI	
Pan inż. architekt Zdzisław Pręgowski	28
WITOLD KARST	
Do Lwowa i za Dniestr z pomocą charytatywną	29
MAŁGORZATA ORZEŁ	
Wystawa „Album kresowy”	31
Z PRASY	31
RECENZJE	
DANUTA NESPIAK	
Tarnopol zatrzymany w kadrze pamięci	32
DANUTA KOTOWICZ	
Wiersze o Lwowie	33
ZYGMUNT ANTKOWIAK	
Niebo i piekło mojej ziemi	33
DANUTA NESPIAK	
O katalogu zabytków kultury ukraińskiej w Polsce	34
Z ŻYCIA TOWARZYSTWA	35
POSZUKIWANIA	37
KORESPONDENCJA	38
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	39
LISTA OFIARODAWCÓW	42

REDAGUJE KOLEGIUM W SKŁADZIE: Jan Akielaszek, Andrzej Chlipalski, Wiesława Jeleńska-Hombek, Danuta Nespiak, Zdzisław Ojrzyński, Jan Ziembicki

REDAKCJA: Zdzisław Ojrzyński — redaktor naczelny, Zygmunt Antkowiak — z-ca redaktora naczelnego, Danuta Nespiak, Maria Iżewska — redaktor prowadzący, Irena Zaucha — asystent redaktora

ADRES REDAKCJI: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa — Wrocław Rynek 7/9 tel. 44-88-93

WYDAWCA: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa —

Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” PKO IV O/Wrocław Nr 93549-10012-132-3

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych

Czas dla sprawiedliwych

W *Kazaniu na Górze* Ewangelia według św. Mateusza przekazała nam następujące słowa Chrystusa: „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni”. Ale Chrystus nie powiedział, kiedy to nastąpi.

Czas jest kategorią człowieczą, nie dotyczy Boga, gdyż istnieje on poza nim. A nam niecierpliwym i wiecznie spieszącym się ludziom końca tego wieku wydaje się, że pokolenie skrzywdzone winno się doczekać sprawiedliwości w czasie tylko do niego należącym, który stanowi ich własny niepowtarzalny czas życia.

Zadośćuczynienie za wyrządzoną krzywdę czynią sprawiedliwi. Czynią to nawet wówczas, gdy sami nie brali w niej udziału. Przykładem choćby grupy ekspiacyjne młodych Niemców, udające się do Oświęcimia. Sprawiedliwi wśród narodów świata mają swoje drzewka i tablice w Jad Vaszem w Jerozolimie. Sprawiedliwi powinni mieszkać na terenach etnicznie mieszanych, ale jest to utopia nawet w naszej demokratycznej i demokratyzującej się Europie wyrosłej na glebie kultury łacińskiej i bizantyjskiej, wyrosłej na uniwersaliźmie chrześcijańskim. Dlatego dzwony Wielkanocy 1993 nie położyły kresu walkom między łacińskimi Chorwatami i prawosławnymi Serbami. Czy wyciszyły je kiedyś na terytoriach etnicznie mieszanych w Polsce?

Leży przede mną pamiętnik pisany ręcznie pięknym kaligraficznym niemal pismem. Jego autor mieszka w Brzegu, a pochodzi z kolonii polskiej koło Chorostkowa w woj. tarnopolskim. Cytuję jego wspomnienia ze s. 327–328: „Wiosenne ranki były pogodne, barwiły się różowo już nie od pożarów, lecz od promieni wschodzącego słońca. Zbliżała się Wielkanoc. Ksiądz Edward Szczerbowski powrócił na swoją parafię, co wcale nie znaczyło, że już nas zagrożenie minęło. Nastąpiła tylko przerwa trwająca niedługo, jak przewidywano. Pamiętam to smutne święto wielkanocne, ściślej mówiąc rezurekcję. Ludzie zeszli się do kościoła. Dało się w nim zauważyć duży brak parafian. Tych, których niedawno pomordowano. Ksiądz wyszedł blady, jakby powrócił ze szpitala po ciężkiej chorobie, i z wyraźnym wysiłkiem zaczął śpiewać *Wesoły nam dziś dzień nastał*... I cisza. Nikt mu nie pomógł ani jednym głosem. Minęło kilka sekund, może minuta, niedługo to trwało, gdy stopniowo nasilił się szmer ciężkich ludzkich westchnień. Za nim nagle jak przepływ wzburzonej fali rozległ się szloch wielu osób, wypełniając swym echem całe wnętrze kościoła. Jego natężenie natychmiast wzrosło. Zamieniło się w niepowstrzymany płacz, coraz bardziej głośniejszy. Nie bez powodu”.

Sprawiedliwy powie: zadośćuczynimy temu płaczowi, nawet gdy minęły lata. Polityk mówi inaczej: interesy zastąpią zaszłości, bo na polsko-ukraińskiej konferencji „Nowe wyzwania – nowa odpowiedzialność”, która odbyła się w lutym br. w Krakowie, udowodniono prymat gospodarki i przyszłości wobec historycznego ciężaru nad przeszłością. Ale mimo tego prymatu, właśnie politycy ukraińscy na tejże konferencji przypomnieli o akcji Wisła. Na Ukrainie potępienie jej przez polski Sejm i likwidacja jej skutków byłyby przyjęte z wdzięcznością i być może wtedy strona ukraińska prosiłaby o przebaczenie, jak wyraził się przewodniczący ukraińskiej parlamentarnej komisji spraw zagranicznych. Ale jednocześnie wymowa tych słów, niosąca nadzieję na sprawiedliwy osąd tragicznych konfliktów polsko-ukraińskich podczas ostatniej wojny, została przekreślona oświadczeniem tegoż przewodniczącego, że UPA to cześć i duma Ukrainy. Sprawiedliwie byłoby wówczas odpowiedzieć: dla was to duma – dla Polaków Wołyń i Podole śmiertelny lęk i tragedia. Armia walczy z armią. Ukraińska Powstańcza Armia walczyła tam z dziećmi, kobietami i starcami, z sąsiadami o miedzę, nie uzbrojonymi, nie tworzącymi żadnej armii. To wasze mordy zrodziły tam powstanie polskiej samoobrony.

W tym kontekście, jaką ogromną nadzieją na porozumienie między obu narodami jest nie doceniony, nie zauważany w mass mediach fakt, że na wschód od Zbrucza, mimo obu okupacji niemieckiej i sowieckiej, Polacy z Żytomierza, Winnicy, Kamieńca Podolskiego, Polacy całego ukraińskiego Podola nie padali nigdy pod siekierą banderowca. Cierpieli razem w czasie strasznego głodu ponurych czasów stalinowskich, razem byli rozkułaczani i nigdy nie powstali przeciwko sobie w tak ekstremalnych warunkach. Tu nie ma zaszłości historycznych ostatniej wojny i interes nie musi tego zastępować.

Uważający się raczej za sprawiedliwego, a nie za pragmatycznego polityka dr Włodzimierz Mokry zabiera często głos w imieniu mniejszości ukraińskiej w Polsce. W lutym br. wywiady z nim zamieściła „Rzeczpospolita” (nr 42 z 19 II) oraz „Tygodnik Powszechny” (nr 8 z 23 II). I mamy znowu *da capo al fine*, czyli repetycję. Mimo wyrażonej opinii, że nie należy się koncentrować na polsko-ukraińskiej przeszłości, lecz patrzeć w przyszłość, dr Mokry powrócił znowu do rozliczenia akcji Wisła. Rozumiem jego patriotyzm, rozumiem żal za przesiedlenie jego rodziców z pow. Jarosław w olsztyńskie, ale sprawiedliwe będzie rozliczenie akcji Wisła po rozliczeniu akcji UPA wobec polskiej ludności Wołynia, Podola i ziemi przemyskiej, gdzie

zastosowano po prostu metodę czystek etnicznych. Wśród ofiar tych czystek byli również obywatele polscy narodowości żydowskiej. Posłużmy się tutaj drugim pamiętnikiem. Tytuł tej obszernej pracy (maszynopis) brzmi *Życiorys Wołyniaka. Wspomnienia z lat 1929–1972*. Dokumentują ją liczne zdjęcia mieszkańców Huty Stepańskiej, pow. Kostopol woj. wołyńskie, ich wykaz wg stanu do lipca 1943 r., tj. aż do jej bohaterskiej obrony przed UPA w dniach 16–18 VII 1943, kiedy ludność polska ponosząc duże straty przebiła się przez pierścień oblężenia docierając pod Włodzimierz Wołyński, jest też plan wsi. Autor wspomnień mieszka obecnie w Lubiniu. Huta Stepańska była wsią polską, mieszkało tam kilka rodzin żydowskich i jedna niemiecka. Cytuję wspomnienia autora z 1942 r., kiedy urząd sołtysa sprawował tam Ukrainiec Jakub Juchim, który zabił dwie żydowskie dziewczyny, a potem: „na odgłos strzałów wyszedł z krzaków stary Żyd huciański Sruł. Dobrze niedowidział. Kiedy podszedł bliżej, Jakub go zauważył. Zastrzelił go nie namyślając się długo. Jak wiadomo, dużo Żydów ukrywało się w lasach. Pewnego razu jakiś Ukrainiec przyprowadził do Jakuba małego chłopca żydowskiego 8–9 lat. Jakub prowadził go obok Józefa Piotrowskiego i ten słyszał jak mały prosił, proszę mnie nie zabijać, ja będę u pana paść krowy. Jakub poprowadził go na byłe żydowskie pastwisko i pod dębem zastrzelił. Widziałem go, miał przestrzeloną głowę. Ja i kilku kolegów zakopaliśmy go przy tym dębie” (s. 44).

Czy nadal trzeba uzasadniać dr. Mokremu, że w śmierci tego bezimiennego biednego dziecka żydowskiego w Hucie Stepańskiej na Wołyniu też leży przyczyna późniejszej akcji Wisła? Zaliczając się do sprawiedliwych i budujących porozumienie między naszymi narodami dr Mokry nie może zaprzeczyć, że rozliczenia za zbrodnie na Wołyniu, Podolu i ziemi przemyskiej winny wyprzedzić rozliczenia akcji Wisła z tego choćby tytułu, iż były przyczyną podjętych później decyzji wysiedlenia Ukraińców i sprawy Jaworzna, nie wspominając już o charakterze i rozmiarach strat wśród ludności polskiej, która nie uciekałaby tak masowo ze swojej ojcowizny, gdyby nie terror UPA.

W wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” rozminął się jednak dr Mokry z prawdą stwierdzając, że ukraińskie podziemie kształtowało się podobnie do AK – z woli oporu wobec niemieckiego i sowieckiego okupanta. Czyżby? Więc z jakiej woli mordowano tak totalnie Polaków? Czy dr Mokry jest na tyle sprawiedliwy, a może i na tyle odważny, żeby odpowiedzieć na to pytanie uczciwie? Zresztą odsyłam dr. Mokrego do publikacji pt. *Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności polskiej na Wołyniu 1939–1945* (wyd. 1990 r.). Odsyłam również dlatego, że są tam nieliczne relacje świadków zbrodni mówiące o tym, iż wśród strasznej rzezi wołyńskiej znaleźli się ewangeliczni sprawiedliwi wśród Ukraińców. Oto przykłady. We wsi Tur gm. Stepań, pow. kostopolski woj. wołyńskie, od mordów UPA uchronił się kaleki Jan Milewicz z żoną, chowając się w gęstych zaroślach. Po kilku dniach w stanie kompletnego wyczerpania znalazł Milewiczów pewien Ukrainiec, który z narażeniem własnego życia przewiózł ich furmanką, schowanych pod sianem, do Rafałówki gm. Kiwerce, pow. łucki, gdzie istniała polska samoobrona. W listopadzie 1942 r. we wsi Bielin gm. Werba, pow. włodzimierski, oddział nacjonalistów ukraińskich uzbrojonych w karabiny, siekiery i widły zamierzał wymordować tam Polaków. Do mordu nie dopuścili dwaj Ukraińcy – Michał Kardaszuk sołtys i Mitka Bronicki zastępca sołtysa (s. 19). Sprawiedliwi wśród narodów świata. Jeżeli żyją jeszcze po tych 51 latach, nie waham się nazwać ich autentycznymi zwolennikami porozumienia polsko-ukraińskiego bez oglądania się na interes. Jeżeli odeszli, dla uczczenia ich pamięci zasadziłabym drzewko, a pod nim umieściłabym tabliczkę „Michał Kardaszuk i Mitka Bronicki ocalili w listopadzie 1942 r. Polaków we wsi Bielin na Wołyniu”. A obok na prostym pomniku wyryłabym napis: „Sprawiedliwemu, nieznanemu Ukraińcowi ze wsi Tur, pow. kostopolski, woj. wołyńskie, wdzięczność i pamięć za uratowanie życia, z narażeniem własnego, Polakowi Janowi Milewiczowi i jego żonie Helenie w dniu 18 lipca 1943 r., roku rzezi wołyńskiej”.

Danuta Nespiak



Warszawa, 1992.12.30.

MINISTER STANU
SZEFE KANCELARII PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

168/92 (GP)

Pani
Dr Danuta Nespiak
Prezes
Towarzystwa Miłośników Lwowa
W r o c ł a w

Szanowna Pani,

W imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Lecha Wałęsy dziękuję za pismo z dn. 23 listopada 1992 r. wraz z załączonym listem otwartym skierowanym do Prezydenta RP przez obradujący w Brzegu Walny Zjazd Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Jednocześnie pragnę Panią zapewnić, a także środowisko skupione w organizacji, której Pani prezesuje, że sprawy Polaków, którzy po II wojnie zmuszeni byli opuścić własne ziemie, jak i Polaków i osób polskiego pochodzenia mieszkających dziś poza granicami współczesnej Rzeczypospolitej, są szczególnie bliskie Prezydentowi RP. Rozwiązywanie tych jakże bolesnych problemów wymaga jednak - z jednej strony - zrozumienia wszystkich doznanych krzywd, z drugiej zaś - kierowania się dobrze rozumianą polską racją stanu.

Pozwolę sobie w tym miejscu wyrazić nadzieję i zarazem przekonanie, że niewolna od tragedii indywidualnych, rodzinnych, pokoleniowych historia stosunków polsko-ukraińskich zostanie ułożona przy pełnym wyjaśnieniu i uświadomieniu społeczeństwu ciemnych kart z nie tak odległej i żywej przeszłości.

Z wyrazami szacunku

Janusz Ziółkowski

LESZEK WIERZEJSKI

Stanisławów — Gród Rewery

Wśród moczarów, między obiema Bystrzycami — Sołotwińską i Nadwórnianką, powstała osada myśliwska, od licznych kniei Knieininem, a później Knihininem zwana, a obok niej na błotach druga, oddzielona stawem, Zabłocie. Obie były własnością możnego rodu Potockich.

Hetman wielki koronny Stanisław Rewera Potocki powziął myśl założenia na tym miejscu warownego grodu i choć jej nie zrealizował, miasto Stani-



sławów na pamiątkę i dla uczczenia sławnego inicjatora nazwane zostało jego imieniem. Zamyśl ojca zrealizował najstarszy syn Andrzej, kasztelan krakowski i hetman polny koronny, zakładając około 1656 r. miasto Stanisławów. Król Jan Kazimierz w 1663 r. zrównał Stanisławów w prawach z innymi miastami Polski. W dziesięć lat później gród uzyskał równorzędne prawa z miastami królewskimi. Powstał w niezwykle burzliwych czasach wielkich wojen, powstań kozackich i klęsk żywiołowych. Potop szwedzki zalewał Polskę od północy i zachodu, Chmielnicki z Tatarami pustoszył kresy południowo-wschodnie, a wojska moskiewskie zajęły Białoruś i spaliły Wilno. Ciągłe zagrożenie tatarskimi najazdami, a potem tureckim ekspansjonizmem uczyniły szybko Stanisławów ważną twierdzą na południowym wschodzie Rzeczypospolitej. Nadworny architekt Potockich, Franciszek Corossini z Awinionu, otoczył miasto

nowoczesnym systemem obronnym. Wzniesiono najpierw wał ziemny i palisadę drewnianą, którą niebawem zastąpiono murem ceglanym, fosą i kamiennymi bramami: halicką albo lwowską, tyśmienicką albo kamieniecką oraz furtą ormiańską.

Miasto zamykało się wówczas w obrębie Rynku i placu Trynitarzkiego oraz przylegających uliczek. Pierwszymi budowlami były: drewniany pałac Potockich wzniesiony pierwotnie na terenie dzisiejszej katedry grecko-katolickiej, drewniano-kamienny ratusz oraz drewniane kościoły ormiański i łaciński wzniesione w pobliżu dzisiejszej kolegiaty. Z drewna były również bóżnica, szkoła żydowska i łaźnia.

Drewniane budownictwo z czasów Andrzeja Potockiego zastąpiono na początku XVIII w. budownictwem murowanym. Już pod koniec XVII w. wzniesiono nowy murowany pałac oraz kościół farny podniesiony w 1669 r. do godności kolegiaty przez arcybiskupa lwowskiego Jana Tarnowskiego. Za rządów Józefa Potockiego, hetmana wielkiego koronnego, rozbudowano fortyfikacje miejskie, zbudowano murowane kościoły — ormiański i o.o. Jezuitów — oraz bóżnicę w pobliżu późniejszego placu Mickiewicza.

W burzliwych czasach przypadających na koniec epoki Wazów i na rządy królów — Michała Korybuta Wiśniowieckiego i Jana III Sobieskiego, spełniał trzy ważne funkcje: był głównym ośrodkiem obrony Zadniestrza, głośnym centrum handlu skoncentrowanego przeważnie w rękach Ormian oraz miejscem rozwoju nauki i kultury.

Po upadku Kamieńca w 1672 r. i po zajęciu Podola przez Turków niedawno wzniesiona twierdza stanisławowska odegrała ważną rolę w obronie Pokucia przed najeźdźcami spod znaku półksiężyca.

We wrześniu 1676 r. dzielna załoga miasta dowodzona przez pułkownika Jana Dennenmarka odparła najazd wojsk Ibrahima baszy, co miało niemały wpływ na przebieg całej kampanii polsko-tureckiej, zakończonej rozejmem zawartym pod Żurawnem. Zaslugę miasta podkreślił Sejm Rzeczypospolitej, powierzając gród stanisławowski opiece hetmanów i zwalniając jego mieszkańców od wszelkich podatków z wyjątkiem ceł koronnych.

Słynne chwałą swojej twierdzy miasto stawało się ważnym ośrodkiem handlu i rzemiosła. W obrębie jego murów znaleźli schronienie Ormianie sprowadzeni przez Andrzeja Potockiego z Węgier i Mołdawii, którzy otrzymali liczne przywileje dające im własny samorząd z wójtem i rajcami oraz monopol handlu zewnętrznego całego Pokucia. Ormianie posiadali własny kościół, który jest cennym zabytkiem sztuki barokowej w mieście. W kościele tym aż do 1946 r. znajdował się Cudowny Obraz NMP Łaskawej uznanej za patronkę miasta. Po II wojnie światowej obraz znalazł się w Gdańsku pod opieką niedawno zmarłego ks. Kazimierza Filipiaka, ostatniego proboszcza ormiańskiego w Stanisławowie. Sam kościół bolszewicy zamienili na „muzeum religii i ateizmu”. Obecnie jest znowu świątynią, ale w obrządku prawosławnym. W XIX w. nastąpiła asymilacja Ormian z ludnością polską, która stanowiła najbardziej dynamiczną część mieszkańców miasta.

Obok Polaków i Ormian w grodzie nadbystrzyckim zamieszkiwali Rusini, którzy pod koniec ubiegłego stulecia nazwali się Ukraińcami, oraz Żydzi podobnie jak Ormianie tworzący własną gminę i różniący się od otoczenia językiem, religią, prawem i zwyczajami. Pod koniec XVIII w. opanowali oni handel w mieście oraz część rzemiosła.

Od końca XVII w. Stanisławów stał się również na długi czas najpoważniejszym ośrodkiem kultury polskiej na Pokuciu, zawdzięczając to rodzinie Potockich, kapitulie kolegiaty, patrycjatowi ormiańskiemu, a potem zakonowi Jezuitów. Początki szkolnictwa w tym mieście wiążą się z osobą Jędrzeja Potockiego, który założył akademię (na wzór zamojskiej) będącą pierwszą wyższą szkołą na południowym wschodzie Rzeczypospolitej. Akademia działała przy kolegiacie korzystając z sił profesorskich Uniwersytetu Krakowskiego. Wraz ze śmiercią Jędrzeja Potockiego zaczął się dla miasta burzliwy okres wojen, okupacji i klęsk żywiołowych, przerywany na krótko latami odbudowy i pokoju.

Na początku XVIII w. Stanisławów stał się ofiarą wojny domowej stronników Augusta Mocnego wspieranego przez Moskali ze Stanisławem Leszczyńskim popieranym przez Szwedów. Józef Potocki, hetman wielki koronny i właściciel miasta, był stronnikiem swego szwagra Leszczyńskiego, co ściągnęło na Gród Rewery kilkakrotne najazdy wojsk moskiewskich i saskich, a potem sekwestr Augusta Mocnego na wszystkie dobra hetmańskie.

Miasto podniosło się z upadku dopiero w 1714 r., gdy pogodzony z królem saskim Józef Potocki wrócił w jego mury. Nastąpił wówczas krótki okres pokoju i odbudowy. Hetman sprowadził Jezuitów, którzy w miejsce nie istniejącej już akademii utworzyli kolegium działające oficjalnie do kasaty zakonu w 1773 r., a w rzeczywistości jeszcze kilka lat dłużej, bo aż do wprowadzenia przez Austriaków nowego programu józefińskiego. Przebudowano pałac, kolegiatę, kościół ormiański i ratusz. Wzniesiono kościół i klasztor Trynitarzy oraz kościół Jezuitów, który po I rozbiórze władze austriackie przekazały Rusinom na cerkiew greckokatolicką.

Czasy pokoju przerwała druga elekcja Leszczyńskiego i nowe najazdy Moskali. Na pamiątkę odparcia jednego z nich w 1739 r. wzniesiono kolumnę NMPanny przy ulicy Halickiej, istniejącą do II wojny światowej. Dziewięć lat wcześniej Stanisław Potocki jako wyraz dziękczynienia z powodu minionej dżumy wznosił przy późniejszej ulicy Sapieżyńskiej kolumnę Chrystusa zniszczoną również po II wojnie.

Tymczasem Stanisławów utracił swego wielkiego fundatora i dziedzica Józefa Potockiego, który zmarł w 1751 r. i z wielką okazałością został pochowany w podziemiach miejscowej kolegiaty. Po nim, na krótko, rządy przejął jego syn Stanisław, a po jego śmierci Katarzyna z Potockich Kossakowska – wnuczka Feliksa Potockiego, młodszego brata założyciela miasta.

W okresie jej włodarzowania na Pokuciu na tron wstąpił ostatni król Polski Stanisław August Poniatowski, którego już pierwsze lata rządów przyniosły nowe walki wewnętrzne i nową interwencję ze

Wschodu. Przeciwko gwałtom ambasadora Rosji Repnina zawiązała się konfederacja barska, której ośrodkiem na ziemi halickiej był Stanisławów. Jego właściciele, tradycyjnie należący do patriotycznych, antymoskiewskich ugrupowań politycznych, stanęli po stronie konfederatów. Na Gród Rewery spadły więc znowu pociski moskiewskiej artylerii. Cztery lata trwała rosyjska okupacja Stanisławowa, poprzedzająca I rozbiór Polski i zajęcie miasta wraz z całą południowo-zachodnią częścią Rzeczypospolitej, nazwaną Galicją, przez Austriaków. Na 150 lat miasto znalazło się pod panowaniem dwugłowego habsburskiego orła, tracąc znaczenie, jakie miało w Polsce. Z kresowej twierdzy, z ważnego ośrodka nauki, kultury i międzynarodowego handlu stał się Stanisławów na długie lata prowincjonalnym miastem zaboru austriackiego.

Wkrótce po upadku Rzeczypospolitej skończyło się również władanie nim przez rodzinę Potockich. Ostatni właściciel miasta, Prot, straciwszy prawie cały majątek, oddał dobra stanisławowskie skarbowi państwa. Austriackie panowanie nad Grodem Rewery przerwało na krótko wkroczenie w jego mury wojsk polskich Księstwa Warszawskiego, które podczas wojny 1809 r. na dwa miesiące wyzwoliły miasto. Potem nastąpiły długie lata rządów wiedeńskiej biurokracji, która usiłowała zgermanizować kraj i zachować w nim stosunki feudalne. Germanizacyjna polityka rządu skończyła się wraz z przekształceniem Cesarstwa Austriackiego w dualistyczne państwo austro-węgierskie i z przekazaniem władzy w Galicji arystokracji polskiej. Stanisławów otrzymał status miasta powiatowego, jego ludność wzrastała sukcesywnie z 5,5 tys. w XVIII w. do ponad 18 tys. pod koniec XIX w. Jednocześnie powiększał się obszar miasta, co łączyło się ze zburzeniem fortyfikacji i z przyłączeniem podmiejskich terenów. Jak każde miasto kresowe był Gród Rewery mozaiką wielu narodów i religii. Obok Polaków, których język był w powszechnym użyciu i których kultura dominowała w mieście, mieszkali w nim Żydzi – najliczniejsza grupa narodowa, Ukraińcy, zwani wówczas Rusinami, oraz Ormianie, Cyganie i Niemcy.

Do Stanisławowa docierały odgłosy wielkich wydarzeń, jakie rozgrywały się na scenie polskiej historii XIX w. Poruszyły one głęboko sercami naszych rodaków i mobilizowały ich do aktywnego działania. Młodzież rzemieślnicza i gimnazjalna brała udział w powstaniach listopadowym i styczniowym, miasto zaś uczyło pamięć bohaterów obu tych zrywów narodowych – poetę Maurycego Gosławskiego, żołnierza 1831 r., i Agatona Gillera, członka rządu Narodowego z 1863 r., chowając ich uroczyscie na starym miejskim cmentarzu. Ich groby przez dziesiątki lat były miejscem patriotycznych manifestacji stanisławowskich Polaków. Podczas Wiosny Ludów inteligencja miejska i młodzież szlachecka z okolic Stanisławowa utworzyły gwardię narodową, którą dowodzili Antoni Żołubowski – major napoleoński, i Mikołaj Bołoz Antoniewicz – oficer wojsk polskich w powstaniu listopadowym.

Ożywiła się działalność narodowa w mieście. Zaczęto wydawać pierwszy polski dziennik – „Gaze-



Ratusz stanisławowski, obecnie muzeum etnograficzne

tę Stanisławowską”, a później „Kurier Stanisławowski”, który wychodził aż do roku 1939. Język polski zaczął wracać do szkół i do urzędów. Na progu ery konstytucyjnej, w 1862 r. odbyły się wielkie uroczystości 200-lecia miasta, podczas których odczytano wiersz młodego poety, a zarazem ucznia gimnazjum stanisławowskiego – Mieczysława Romanowskiego, pt. *Bulawa Stanisława Rewery Potockiego*. W 1892 r. otwarto teatr polski im. Aleksandra Fredry jako teatr amatorski, a później półzawodowy. Grało w nim wielu aktorów z innych miast polskich, m.in. ze Lwowa i z Poznania.

Miasto zaczęło też odgrywać coraz poważniejszą rolę jako ośrodek gospodarczy Pokucia. Na jego obrzeżach powstawały zakłady przemysłowe, a nowo zbudowane linie kolejowe połączyły Stanisławów z Czerniowcami, Lwowem, zagłębiem borysławskim i miastami Podola.

Pomyślny rozwój miasta zahamował na krótko wielki pożar, który wybuchł 28 września 1868 r., niszcząc większą część domów mieszkalnych i gmachów publicznych. Szybka odbudowa stała się możliwa dzięki zabiegom burmistrza Ignacego Kamińskiego, który uzyskał pożyczkę od Sejmu Galicyjskiego i wsparcie finansowe z całego kraju.

Życie polityczne w konstytucyjnej monarchii austro-węgierskiej znajdowało wyraz w powstających partiach politycznych, które wyrażały interesy klas i grup społecznych trzech głównych nacji zamieszkujących miasto. Wśród mieszczaństwa polskiego dużymi wpływami cieszyło się Stronnictwo Narodowe, wśród rzemieślników, kolejarzy i tworzącej się klasy robotniczej natomiast Polska Partia Socjalistyczna, której lider Ignacy Daszyński był w młodości

uczniem I Gimnazjum w Stanisławowie. Zakładano też organizacje zawodowe, kulturalno-oświatowe i sportowe. Związani z ruchem narodowym działacze utworzyli towarzystwo „Młodzież Polska” oraz towarzystwo gimnastyczne „Sokół”. Młodzi entuzjaści oświaty dla ludu i wychowania fizycznego organizowali czytelnice TSL i kluby sportowe. Jednym z najsilniejszych i najpopularniejszych klubów była „Rewera” rozgrywająca mecze na Dąbrowie za parkiem miejskim.

Na początku XX w. rozwinął się na Pokuciu ruch niepodległościowy i zaczął tworzyć paramilitarne organizacje strzeleckie. Do Stanisławowa w latach 1911–1914 przyjeżdżał kilkakrotnie Józef Piłsudski w celu wizytacji Związku Strzeleckiego i współpracujących z nim zrzeszeń – Związku Walki Czynnej, drużyn strzeleckich, skautingu i Sokolich Drużyn Polowych. W sali Kasyna Polskiego przy ul. Sapieżyńskiej wygłaszał on odczyty na tematy związane z walką o niepodległość Polski w ubiegłym stuleciu i doświadczeniach rewolucji 1905 r. Piłsudski gościł w mieście na kilka dni przed wybuchem I wojny, którą zapowiadał i która przyniosła Polsce wyzwolenie. Ze Stanisławowem wojna ta obeszła się bardzo surowo. W gruzach legło około tysiąca budynków, zniszczono przedsiębiorstwa, zrujnowano mosty i drogi. Gród zajmowały dwukrotnie wojska rosyjskie, a w ostatnich dniach wojny oddziały ukraińskie.

W lipcu 1917 r. uratowali Stanisławów od całkowitej ruiny ułani polscy służący w składzie II Korpusu Kawalerii Rosyjskiej pod dowództwem płka Bolesława Mościckiego. Rozbili oni zbolszewizowane oddziały rosyjskich maruderów podpalających miasta i mordujących jego mieszkańców. Następnie na polach pobliskich Krechowic powstrzymali atakujące oddziały niemieckie. Pamięć o tym sławnym wydarzeniu czczona była w Wojsku Polskim w latach II Rzeczypospolitej, a pułkowi nadano nazwę 1 Pułku Ułanów Krechowieckich, im. płka Bolesława Mościckiego, wyznaczając 24 lipca (dzień słynnej szarży) jako Święto Pułkowe.

Jesień 1918 r. przynosząc Polsce niepodległość, nie przyniosła wyzwolenia miastu nad Bystrzycami. W listopadzie zajęli je Ukraińcy i ustanowili stolicą państwa zachodnioukraińskiego. Ich rządy w mieście trwały do maja 1919 r., kiedy to zostali wyparci przez oddziały polskie wspomagane przez żołnierzy miejscowej POW. W rok później na teren Podola wkroczyli bolszewicy, ale do Stanisławowa nie doszli, gdyż zatrzymani zostali na linii Dniestru.

Miasto na lat dwadzieścia znów znalazło się w granicach Rzeczypospolitej. Był to okres dynamicznego rozwoju Grodu Rewery, który władze polskie podniosły do rangi siedziby województwa. Obejmowało ono 12 powiatów (Stanisławów, Kołomyję, Stryj, Dolinę, Horodenkę, Kałusz, Kosów, Nadwórnię, Śniatyn, Tłumacz, Rohatyn i Żydaczów) i było najdalej na południowy wschód wysuniętą częścią państwa.

W 1925 r. miasto znacznie się rozrosło dzięki przyłączeniu gmin podmiejskich, tzw. Knihininów, co spowodowało wzrost ludności z 30 do 70 tys. i zwiększenie obszaru z 415,8 do 2 275,5 ha. Skanalizowano

śródmieście, poszerzono ulice i pokryto je trwałą nawierzchnią, zbudowano elektrownię miejską, nową targowicę, koszary straży pożarnej i wzniesiono szereg bloków mieszkalnych. Odbudowano zniszczony podczas I wojny światowej ratusz miejski, nadając mu oryginalny, nowoczesny charakter.

Stanisławów był nie tylko ważnym ośrodkiem administracyjnym i wojskowym jako siedziba dowództwa 11 Karpackiej Dywizji Piechoty, ale również skupiskiem katolików trzech obrządków: łacińskiego, ormiańskiego i greckokatolickiego. Historyczna kolegiata, która miała być podniesiona do rangi katedry, była najcenniejszym zabytkiem miasta, kryła bowiem w podziemiach prochy swych fundatorów i dzięki Sienkiewiczowskiej *Trylogii* uwieczniona została w literaturze polskiej. Na jej zewnętrznej ścianie znajduje się do dziś tablica pamiątkowa ku czci Stanisława Potockiego, ufundowana w 1883 r. i uroczyście odsłonięta po odnowieniu w 1933 r. podczas wielkich obchodów 250-lecia odsieczy Wiednia w Stanisławowie.

Oprócz kościołów katolickich wznosiły się w mieście dwie synagogi i kościół ewangelicki. Było tu wiele szkół różnych typów z najstarszym I Gimnazjum na czele. Wykształciły one wielu wybitnych Polaków, m.in. poetów Franciszka Karpińskiego i Mieczysława Romanowskiego, Juliana Tokarskiego profesora Politechniki Lwowskiej, marszałka Sejmu II Rzeczypospolitej Ignacego Daszyńskiego i dowódcę Samodzielnej Brygady Spadochronowej podczas II wojny światowej, bohatera spod Arnheim w Holandii, gen. Stanisława Sosabowskiego.

Pomyślny rozwój miasta przerwała II wojna światowa, przynosząc dwie krwawe okupacje, a następnie w swym epilogu miała tragicznie zakończyć trwający 300 lat rozdział w jego dziejach. W niedzielę 17 września 1939 r. napadła na Polskę Czerwona Armia, w dzień później przejechały przez Stanisławów cofające się ku granicy węgierskiej kolumny brygady pancernej płka Stanisława Maczka, późniejszego generała i bohatera spod Falaise. Była to ostatnia jednostka naszego wojska w Grodzie Rewery. Postępujący w ślad za nią bolszewicy zajęli miasto, niosąc ze sobą hasła nienawiści klasowej, terror i głód. Na zwoływanych wiecach nowe władze opluwały państwo polskie i jego przywódców. Ulice, place i parki tonęły teraz w powodzi plakatów i transparentów wysławiających komunizm, a także portretów wodzów „światowego proletariatu” ze Stalinem na czele. Rozpoczęły się aresztowania, które nie ominęły żadnej z warstw społecznych, ani żadnej narodowości zamieszkującej miasto, a zwłaszcza Polaków. Szli do więzień w pierwszej kolejności wojskowi, policjanci i działacze partii politycznych, nie wyłączając członków przedwojennych stronnictw lewicowych. Po nich szli nauczyciele, adwokaci, lekarze, kolejarze, rzemieślnicy, robotnicy i chłopci, bo w systemie sowieckim wszyscy bez wyjątku byli podejrzeni.

W latach 1940–1941, na podstawie rozkazu NKWD z dnia 11 X 1939 r. nr 001223 wraz z załączoną do niego „Instrukcją o trybie przeprowadzania deportacji antyradzieckiego elementu”, przeprowadzono cztery wielkie wywózki w głąb ZSRR, głównie

do północnego Kazachstanu. Objęły one również mieszkańców Stanisławowa, w znacznym stopniu wyniszczając jego polską ludność. Wybuch wojny sowiecko-niemieckiej, w dniu 22 czerwca 1941 r., Polacy przyjęli zatem z uczuciem ulgi, że oto runął zbrodniczy alians Stalina z Hitlerem, i z nadzieją poprawy swego tragicznego losu. Stało się jednak inaczej. Czerwony totalizm zastąpił brunatny – również okrutny i zbrodniczy. Po krótkich rządach Węgrów (lipiec 1941 r.) do Stanisławowa wkroczyli Niemcy i włączyli go wraz z całym Pokuciem do Generalnej Guberni. Przy pomocy nacjonalistów Ukraińskich hitlerowcy rozpętali straszliwy terror, który doprowadził do całkowitego niemal wytopienia ludności żydowskiej oraz do wymordowania i wywiezienia tysięcy Polaków do obozów i na przymusowe roboty.

Podobnie jak we Lwowie, i w Grodzie Rewery Niemcy swoje rządy rozpoczęli od wymordowania czołowych przedstawicieli polskiej inteligencji, wśród których znalazła się zdecydowana większość stanisławowskich nauczycieli. Padli oni od kul plutonu egzekucyjnego SS w Czarnym Lesie na północny zachód od miasta w sierpniu 1941 r.

Potem nastąpiły trzy długie lata brunatnego terroru z nowymi ofiarami, nowymi tragediami i nowymi, często dziś nie znanymi grobami. Ze szczególną zacięłością mordował okupant członków polskiego podziemia, które zorganizowało się w mieście już podczas pierwszej okupacji sowieckiej. Stanisławowski okręg ZWZ-AK, który oprócz miasta objął też prowincję, działał przez całą wojnę mimo ogromnych strat, jakie poniosło jego kierownictwo podczas wielkich aresztowań dokonanych przez gestapo na prze-



Dworzec kolejowy, stan obecny

łomie 1942/43 r. Wówczas to znalazł się w więzieniu Władysław Madej — komendant stanisławowskiego hufca Szarych Szeregów (zm. w maju 1992 r.).

Z równą zaciekłością polski ruch niepodległościowy w Stanisławowie zwalczali Rosjanie, którzy ponownie weszli do miasta 27 lipca 1944 r. Już od pierwszych dni nowi okupanci rozpoczęli masowe aresztowania, w wyniku których znalazł się w więzieniu komendant okręgu — kpt. Władysław Herman, przewieziony następnie do Moskwy. Miał on zeznawać w procesie 16 przywódców polskiego podziemia. Inni, np. Wilczewski i Tarnawska, popełnili samobójstwo przy próbie aresztowania, jeszcze inni zostali wywiezieni na Sybir. Stanisławowskie AK zostało zlikwidowane. Potem przysłała Jalta i zgoda aliantów na oddanie wschodnich ziem Rzeczypospolitej Sowieciom. W tej sytuacji w latach 1945—1946 nieunikniony był masowy wyjazd Polaków ze Stanisławowa. Na ziemi praojców pozostali tylko nieliczni, którzy często musieli ukrywać swoje narodowe pochodzenie. Przez ponad 40 lat patrzyli oni z przerażeniem, jak władze sowieckie zacierają ślady polskości, zamykają kościoły, burzą pomniki i krzyże, likwidują szkoły z polskim językiem nauczania. W 1962 r. czerwone władze zmieniły historyczną nazwę miasta na Iwanofrankowsk, co miało całkowicie zatrzeć jego polską przeszłość. W 18 lat później zlikwidowały stary cmentarz katolicki, na którym spoczęły tysiące mieszkańców miasta, w tym wielu wybitnych Polaków biorących udział w konspiracji, uczestników powstań, żołnierzy Legionów i POW.

Dopiero upadek komunizmu stworzył miejscowym Polakom szansę odrodzenia narodowego. W czerwcu 1989 r. otwarto pierwszy po długich latach ateizacji polski kościół pod wezwaniem Chrystusa Króla, którego proboszczem został młody ks. Kazimierz Halimurka. Przy kościele powstało Towarzystwo Kultury Polskiej im. Franciszka Karpińskiego — ośrodek życia narodowego miejscowych Polaków. Ich coraz częstsze kontakty z Polską, zwłaszcza zaś z dawnymi mieszkańcami Grodu Rewery, są coraz trwalsze, dobrze służąc zachowaniu polskości na Kresach i podtrzymywaniu tamtejszych tradycji w III Rzeczypospolitej.



Pomnik Adama Mickiewicza w Stanisławowie
dłuta K. Blotnickiego z 1898 r.

Dziś, w liczącym 218 tys. mieszkańców mieście (wg stanu na rok 1986), Polacy stanowią już tylko małą wysepkę, ale coraz bardziej prężną i świadomą swych celów — obrony tradycji, języka i własnej kultury.

APEL

BIBLIOTEKA LITERATURY OBCEJ

290601 Lwów
ul. Mularska 2-a
Ukraina

SZANOWNNI PAŃSTWO

Ośmielamy się zwrócić w następującej sprawie.

Już ponad czterdzieści lat istnieje we Lwowie biblioteka literatury obcej, jedyna tego rodzaju na całej Zachodniej Ukrainie. Jej księgozbiór składa się z wydań w 41 językach.

Najczęściej jednak czytane są książki w języku polskim, o czym świadczą cyfry — literatura w tym języku stanowi 58% księgozbioru, 44% czytelników czyta po polsku.

Dużą rolę w uzupełnianiu naszego księgozbioru odgrywa wymiana książek z Uniwersytetem Warszawskim, który nadsyła nam niektóre gazety i czasopisma. Jeszcze nie tak dawno istniała wymiana z biblioteką w Rzeszowie.

Ostatnio literatura w języku polskim do biblioteki nie nadchodzi, a zainteresowanie polską książką rośnie.

W związku z tym zwracamy się z prośbą o uzupełnienie w miarę możliwości naszego księgozbioru współczesną literaturą piękną oraz książkami z zakresu sztuki kulinarnej i żurnalami mód.

Rozumiemy, jakie są trudności z przesyłką, dlatego prosimy wykorzystać nawet prywatne kontakty.

Z poważaniem
A. Łukjanenko

DYREKTOR BIBLIOTEKI

Truskawiec i inne

Lubień Wielki, Morszyn, Niemirów

W dwóch poprzednich artykułach na temat uzdrowisk Wschodniej Małopolski przypomnieliśmy ogólne walory tej ziemi, zasługującej na miano „zajębia rekreacyjno-leczniczego”¹, następnie czołowe jej zdrojowisko — Truskawiec². Kolej więc na dalsze, nieco mniejsze i trochę mniej sławne zdrojowiska, których atoli zalety predestynowały je do wielkiej kariery. Dziś omówimy trzy: Lubień Wielki, położony tuż pod Lwowem, przy drodze do Sambora, Morszyn koło Stryja oraz Niemirów, ukryty w lasach między Jaworowem, Rawą Ruską i Lubaczowem.

W następnych artykułach zajmiemy się innymi jeszcze zdrojowiskami, których natura nie poskąpiła tej pięknej i bogatej ziemi. Warto więc przypomnieć Szkło i Delatyn, a także takie, których kariera dawno się skończyła: Burkut w Czarnohorze i arcyciekawą Konopkówkę pod Mikulińcami. Potem przyjdzie kolej na kąpieliska i stacje klimatyczne, a wśród nich Kosów z niezapomnianym zakładem dra Apolinarego Tarnawskiego, Zaleszczyki, wreszcie sławne miejscowości letniskowo-turystyczno-narciarskie w dolinach Prutu, Stryja i Oporu.

Drodzy Czytelnicy! Spisujcie swoje wiadomości i wspomnienia z kuracji i letnisk, z kolonii i obozów w Małopolsce Wschodniej. Nie skazujmy na zapomnienie tych wspaniałych miejsc.

Lubień Wielki

Należy do najstarszych polskich zdrojowisk. Cieszył się dużą popularnością już w XVI w., o czym pisze w swych dziełach lekarz epoki renesansu Wojciech Oczko³. W XVII stuleciu został Lubień zniszczony w trakcie najazdu kozacko-tatarskiego tak dalece, iż lustracja królewszczyzn przeprowadzona w całej Polsce w drugiej połowie tamtego wieku⁴ wykazała prawie całkowite spustoszenie tej wsi. Lubień należał wówczas do tzw. dzierzawy szczyrzeckiej, będącej w posiadaniu możnego rodu Mniszchów. Przypomnijmy, że Mniszchowie osiedli w nieodległej Ziemi Samborskiej, a ich główną rezydencją były Laszki Murowane. W tychże Laszkach wychowała się Maryna, córka Jerzego Mniszcha, jednego z najbogatszych magnatów polskich XVI w., zaślubiona Dymitrowi Samozwańcowi.

¹ „Semper Fidelis” 1991, nr 4.

² „Semper Fidelis” 1992, nr 2.

³ Cieplice, Kraków 1578 oraz *Przymiot albo dworska niemoc*, 1581.

⁴ Na ziemi lwowskiej w latach 1661–1665.

To jednak dygresja. Wracając do Lubienia Wielkiego — w XVIII w. stał się własnością rodziny Jabłonowskich⁵, która przywróciła mu rolę uzdrowiska, czerpiąc zeń duże dochody mimo braku odpowiednich obiektów i urządzeń. W pierwszej połowie XIX w. właścicielem był Ludwik Jabłonowski (szwagier Aleksandra Fredry), autor ciekawych wspomnień *Złote czasy i wywczasy*. Opowiada tam m.in. o kłopotach związanych z pobytem w uzdrowisku lubieńskim hałaśliwej gromady byłych powstańców, którzy po upadku powstania listopadowego 1831 r. musieli uchodzić z zaboru rosyjskiego do Galicji.



Lubień Wielki. Park i kościółek zdrojowy

Prawdziwy rozkwit uzdrowiska następuje jednak dopiero w połowie XIX w., gdy Lubień wszedł w posiadanie rodziny baronów Brunickich, którzy na przełomie XIX i XX w. rozbudowali go w nowoczesny, kompetentnie prowadzony ośrodek balneologiczny. Powstały nowe łazienki i dom zdrojowy o skromnej, lecz ładnej architekturze neobarokowej i neoklasycyzmu, pensjonaty, neogotycki kościółek zdrojowy, a także rozległy, pięknie urządzone park oraz wodociąg i kanalizacja.

Lubień Wielki leży nad Wereszycą (tak jak Gródek Jagielloński), na wysokości ok. 300 m nad poziomem morza, od północy osłonięty rozległymi lasami. Jego bogactwem jest pięć źródeł wody siarczano-wapiennej, z dość znaczną zawartością soli magnezowych. Dwa z nich, „Ludwik” i „Adolf”, miały bardzo dużą wydajność, to pierwsze, z uwagi na zawartość wolnego siarkowodoru, należało do naj-

⁵ Z hrabiów herbu Grzymała, a nie z linii książęcej herbu Prus.



Lubień Wielki. Pawilon z salą balową

wartościowszych w Europie. Była też borowina wydobywana z głębszych pokładów torfowiska położonego wśród źródeł mineralnych, bardzo więc ceniona ze względu na przepojenie siarką i specyficzne sfermentowanie przez bakterie żyjące na siarczanym podłożu, a także na skutek znacznej zawartości siarczanu glinowego i wapniowego. Walory te predestynowały Lubień do leczenia zapalenia stawów, gruźlicy kości, usztywnienia kręgosłupa, następstw po urazach i operacjach, ischiasu, porażeni i niedowładów, a także chorób przemiany materii, chorób kobiecych, skórnych, górnych dróg oddechowych, żyłaków i wielu innych jeszcze schorzeń.

Lubień należał do uzdrowisk dobrze wyposażonych w urządzenia lecznicze do kąpieli mineralnych i borowinowych (w różnych kombinacjach), inhalacji, fizykoterapii, masaży. Do kuracji pitnych służyła woda ze źródła „Adolf”. Korzystnie przedstawiał się też Lubień od strony kulturalno-rozrywkowej, co miało znaczenie także z uwagi na bliskość Lwowa (28 km, 10 pociągów i 2 kursy autobusów dziennie). Było kasyno zdrojowe z bogatą biblioteką i czytelnią, czasopism, sala teatralna i balowa. Odbýwały się koncerty, dancengi i festyny. Amatorzy sportów mieli do dyspozycji korty tenisowe, kręgielnię, strzelnicę, plażę.

Właścicielem Lubienia Wielkiego do czasu wojny był baron Adolf Brunicki, ceniony fachowiec w zakresie zdrojownictwa i członek najwyższych władz uzdrowiskowych w Polsce.

Morszyn

Czy współcześni Polacy wiedzą, czym była sól morszynska? Czy wiedzą, że był to niezwykle popularny w kraju rodzimy produkt — paczkowana sól do kąpieli, nie ustępująca, a może i przewyższająca słynną sól emską czy karlsbadzką?

Morszyn — choć już w XV w. tutejszą sól eksploatował Branicki — był najmłodszym zdrojowiskiem spośród czołowych uzdrowisk polskich, a swoje powstanie i karierę zawdzięczał bardzo wartościowej solance gorzkiej, o niezwykle silnym stężeniu soli, nie gorszej od podobnych, renomowanych z Ems, Karlsbadu-Karlovyh Varów czy Marienbadu-Marianskich Lazni.

Woda morszynska służy do kąpieli, kuracji pitnych i inhalacji, jest tam też borowina. Najcenniejszy był źródło „Bonifacy” — 23% hipertoniczna woda słono-glaubersko-gorzka, którą — oprócz użytkowania na miejscu — butelkowano oraz przetwarzano na sól paczkowaną i sprzedawano w całej Polsce. Solanką morszynską leczono artretyzm we wszelkich jego postaciach, przewlekły gościec mięśniowy i stawowy, choroby przemiany materii, schorzenia wątroby, dróg żółciowych i moczowych, schorzenia żołądka i jelit, a także choroby serca i naczyń oraz narządów kobiecych. Do tych celów służyły zbudowane w latach 1920–1930 obszerne i ładne budynki mieszczące łaźienki mineralne i borowinowe, urządzenia do hydroterapii i płukań, wiewialnie. Zwracała uwagę oryginalna pijalnia w formie rotundy, zaprojektowana przez znanego architekta lwowskiego Wawrzyńca Dayczaka.



Morszyn. Pijalnia i sanatorium

Morszyn leży koło Stryja (15 km), na wysokości 325 m n.p.m., wśród rozległych lasów szpilkowych i liściastych, osłonięty od północy pasmem wzgórz, z ekspozycją ku południowi. Stąd świetny, łagodny, kojący klimat, kwalifikujący Morszyn również jako miejscowość klimatyczną.

Założycielem i właścicielem uzdrowiska morszynskiego było Towarzystwo Lekarskie we Lwowie. Ciekawostką jest, że w XIX w. na długo przed powstaniem zdrojowiska, wieś Morszyn należała do Franciszka Smolki, wybitnego polityka polskiego, prezydenta parlamentu austriackiego. Tego samego Smolki, którego inicjatywie zawdzięczamy usypianie Kopca Unii Lubelskiej na lwowskim Wysokim Zamku.



Morszyn. Łazienki

Niemirów

Niemirów leży na północny zachód od Lwowa (65 km), w obrębie malowniczego Roztocza, na wysokości ok. 220 m n.p.m., w obszernej kotlinie, którą otacza wieniec gęsto zalesionych wzgórz. Iglaste lasy, wśród których zbudowano obiekty uzdrowiskowe i pensjonaty, tworzyły ogromny, naturalny park o obszarze ponad 5000 ha. Stąd znakomity, łagodny klimat, brak wiatrów, zdrowe powietrze.

Zdrowisko niemirowskie (oddalone o 4 km od miasteczka) ma stary rodowód. Majątek niegdyś Fredrów, założycieli miejscowości w 1580 r., potem Stadnickich, stał się na przełomie XVIII i XIX stulecia własnością Ignacego Hilarego Moszyńskiego, który w 1814 r. założył tu pierwszy zakład kąpielowy. W 1833 r. było już 150 pokoi dla kuracjuszy i 50 łazienek, restauracja, teatr i sala balowa. Potem nastąpił upadek i dopiero po 1870 r. następni właściciele dóbr, Krusensternowie⁶ zapoczątkowali nowy okres powodzenia uzdrowiska.

Naturalnymi środkami leczniczymi Niemirowa-Zdroju są źródła wody siarczano-słono-alkalicznej (której zalety nie ustępują wodom z tak słynnych uzdrowisk jak Aix-les-Bains, Piszczany, Trenczyn lub Baden pod Wiedniem) i nieprzebrane pokłady wspaniałej borowiny. Stosowano tu kąpiele mineralne ze źródeł „Anna”, „Maria” i „Bronisława”, kuracje pitne ze źródła „Aleksandra” oraz zabiegi borowinowe. Wskazania lecznicze dotyczyły wszelkich stanów reumatycznych, newralgii, porażeni i niedowładów, artretyzmu, stanów pourazowych, a także chorób kobiecych, chorób nerek i dróg moczowych oraz skórnych.

Zabiegi wykonywano w obszernym gmachu kąpielowym. Do rozrywek służyły — Dom Zdrojowy, restauracja z danciem, sala balowa, sala teatralna, kino. Był też duży basen kąpielowy i korty tenisowe. Atrakcjami turystycznymi okolicy były miejscowości związane z wielkimi postaciami naszej historii: Jaworów, ulubione miejsce pobytu Władysława Jagiełły i Jana III Sobieskiego, oraz bogata w zabytki Żółkiew, niegdyś siedziba Żółkiewskich i Sobieskich.

W ostatnim okresie zdrowisko niemirowskie było własnością spółki.

W zakończeniu tego artykułu chciałbym uzupełnić naszą wiedzę o Truskawcu na podstawie informacji podanych przez p. dra Jana Reutta, zamieszkałego obecnie w Kudowie. Jego list nadszedł do Redakcji już po oddaniu do druku poprzedniego odcinka poświęconego Truskawcowi.

⁶ Spolszczona rodzina pochodzenia kurlandzkiego.



Niemirów. Zakład kąpielowy

Otóż na przełomie wieków Truskawiec był współwłasnością dziadka dra Reutta, inż. Józefa Wyczyńskiego. Z kolei zięć tegoż, a ojciec naszego korespondenta, inż. Leon Reutt, był w latach 1920–1931 burmistrzem Drohobycza, w Truskawcu zaś wybudował piękną willę „Modrzew”, zaprojektowaną przez architekta Jana Semkowicza, tego samego, który wspólnie z arch. Marianem Nikodemowiczem zbudował nowy piękny ratusz w Drohobyczu. Obecnie mieści się w tej willi wojskowe sanatorium dla lotników. I jeszcze jedna ciekawa informacja — wielkie kąpielisko na Pomiarkach, założone w latach międzywojennych, powstało przez wykorzystanie wyrobiska dawnej odkrywkowej kopalni wosku ziemnego, której właścicielem był wspomniany Józef Wyczyński.

Otrzymaliśmy ponadto list od p. Jerzego Pileckiego, zamieszkałego we Wrocławiu. Dowiedzieliśmy się, że Komisja Historyczna Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej pragnie odtworzyć herb Truskawca, nie ma jednak pewności, jak naprawdę wyglądał (znane są dwie wersje). Może ktoś z Czytelników ma wiadomości na ten temat?

Obu korespondentom za listy pięknie dziękujemy.

Jeszcze informacja, która może zainteresować naszych Czytelników. Ostatnio reklamowane są u nas turnusy kuracyjne w Brzuchowicach, Truskawcu i Morszynie. W czasie mego niedawnego, parogodzinnego pobytu w Truskawcu (w sierpniu '92, wraz z krakowskim chórem akademickim „Organum”, który pięknie zaśpiewał przy źródle „Józia”) spotkałem w tamtejszym parku Polaków z RP, którzy pojechali do Lwowa i tam wykupili sobie turnusy w Truskawcu. Byli zadowoleni z pobytu i usług leczniczych, mniej z wyżywienia.

Pragniemy przypomnieć Czytelnikom postać i twórczość radiową gorącego miłośnika Lwowa i Małopolski Wschodniej dra Henryka Breita, którego 50 rocznica męczeńskiej śmierci i 85 rocznica urodzin minęły w ubiegłym roku.

Henryk Breit urodził się 20 VI 1906 r. we Lwowie. Studia w zakresie filologii polskiej ukończył na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Jana Kazimierza i tam uzyskał tytuł doktora filologii.

Pracował jako nauczyciel języka polskiego w XI Państwowym Gimnazjum we Lwowie. Jako wielki miłośnik swego rodzinnego miasta i całego regionu lwowskiego, był aktywnym członkiem i sekretarzem Towarzystwa Miłośników Historii Lwowa. Z wielkim zapałem i pasją pełnił funkcję przewodnika po Lwowie. Historię i piękno miasta przekazywał przyjeżdżającym licznie turystom krajowym i zagranicznym. Pisał o tym w broszurze *Ze wspomnień przewodnika*.

Zginął zimą 1941 r. w więzieniu w Stanisławowie, zamordowany przez hitlerowców w wieku 35 lat, w pełni sił twórczych. Dokładne okoliczności jego zgonu i miejsce, gdzie został pochowany, nie są znane.

Pozostało parę rękopisów jego artykułów i audycji radiowych wygłaszanych w lwowskiej rozgłośni, trochę prób literackich i nie wydany podręcznik gramatyki języka polskiego.

Jego rozważania o historii i polskości Lwowa dźwięczą aktualnie także i dziś, gdy o tych sprawach wielu zapomniało, a wielu chciałoby zapomnieć.

HENRYK BREIT

Kuty, ormiańskie miasteczko

W miejscu, gdzie najpiękniejsza rzeka Huculszczyzny, legendami owiany Czeremosz, z górskiej doliny wypływa na obszerną słoneczną, podgórską równinę, rozłożyło się malowniczo i kwieciste wśród przepięknych sadów miasteczko Kuty.

Już samo położenie u wrót górskiej krainy – zdecydowało o charakterze tej osady. Do tego miejsca można było jeszcze dojechać ładownym wozem kupieckim względnie bezpiecznie i wygodnie, dalej już zaczynał się kraj burzliwych, wzbierających nagle górskich rzek i potoków, obszar nieprzebranych niegdyś puszczy i wąskich a zdradliwych ścieżyn i przesmyków. Ale nie tylko zwierzę dziki w tych stronach się gnieździł, wiele śladów wskazuje na to, że w bardzo już dawnych wiekach osiedlili się tam ludzie. Jaki mus gnał ich w te góry? Może nie zawsze z dobrej szli tam woli, jak ów wygnaniec z dworu rzymskiego cezara przed dwoma tysiącami lat, Owidiusz, poeta i niewygodny, bo zbyt bystry i dowcipny satyryk. Lata zesłania spędził daleko od Rzymu, u rubieży imperium, w legendarnej Tracji, której granice tu właśnie historycy wyznaczają. Może naprawdę ma słuszość kucka legenda, że właśnie tu przebywał, legenda, która jego imieniem najbliższe miastu wzgórze nazwała imieniem Owidiusza? A potem, już za polskich czasów, przemyskał się w te strony niejeden,

Spośród tekstów radiowych dra Breita wybraliśmy na początek ten, który dotyczy naszych braci i współmieszkańców wschodniomałopolskiej ziemi – Ormian. Nie stało się to przypadkowo: uczyniliśmy to w związku z II Ogólnopolskim Spotkaniem Środowiska Ormiańskiego, które odbyło się w Krakowie w dniu 2 maja 1992 r. Przypomnienie tego tekstu po przeszło półwieczu niech będzie dowodem naszego niesłabnącego zainteresowania historią i kulturą Ormian polskich oraz naszym przyczynkiem do zbioru materiałów pozostałych po sesji referatowej, która towarzyszyła spotkaniu.



HENRYK BREIT

co mu wolne życie wśród bezpańskich gór pachniało, nierzadko i szlachcic – banita. I jak dziś, tak i przed wiekami ciągnęli z tych gór Huculi ku dolinom, by swoje produkty, drewno, wełnę i nabiał, zamienić na wytwory przemysłu ludzi z dolin.

Nie dziw, że najsprytniejsi kupcy, najlepsi organizatorzy handlu, za jakich od wieków słusznie uchodzą – Ormianie – tu właśnie założyli osadę handlową i że dziś jeszcze tworzą największe w Polsce skupienie. Kuty są jedyną u nas miejscowością, gdzie można zobaczyć typowych Ormian, smagłych, czarnookich i czarnowłosych, o charakterystycznych wydatnych nosach; tu żyją jeszcze stare zwyczaje i obrzędy, tu usłyszeć można ormiańską mowę, gościnnie przyjmują tu przybysza ormiańskimi specjalami.

Czysty, solidny autobus PKP, którym przybyliśmy tu z Kołomyi, opuszczamy w środku miasta. Rynek jest na oko taki sam, jak w każdym małopolskim miasteczku: gwarno tu i rojno, a kupić można wszystko, czego dusza wędrowca zapagnie: jarzyny i owoce tu wyhodowane, i inny prowiant wszelaki, i piękne okazy huculskiej sztuki ludowej, a zwłaszcza ładne wyroby garncarskie, z których słyną Kuty i Kosów. Amatora szczególnie pięknej ceramiki skierowałbym na ulicę Kolejową, gdzie mieści się pracownia braci Broszkiewiczów. Jakież piękno i bogactwo form, jaka rozmaitość motywów zdobniczych! Nie ma tu szablonu ni wzorów, wszystko tworzy na nowo bujna, nie zawadzająca nigdy wyobraźnia ludowego artysty, co sam sobie glinę przygotowuje i formę zręcznie na krążku garncarskim wytoczy, rylcem na wysuszonym już naczyniu wzór komponuje, nakłada barwne emalie, wreszcie wypala i sam potem na targ wynosi.

Wróćmy z rynku kilkadziesiąt kroków drogą, którąśmy przyjechali, a ujrzymy w niewielkiej od siebie odległości dwa ładne kościoły — polski i ormiański. Niestety, nie dochowały się w nich do naszych czasów prastare pamiątki, zbyt blisko było tatarskich szlaków i wołoskich rabusiów. Ale Ormianie, zawsze pobożni i ofiarni, gdy chodziło o świątynię Bożą, nie szczędzili pieniędzy, by kościół swój odbudować i na nowo ozdobić. I dziś czyni on wrażenie miłe i dostojne zarazem.

Na linii między oboma kościołami skupia się niedzielne życie towarzyskie kuckich autochtonów, tu spotyka się znajomych, tu przechadzają się miejscowi eleganci.

Tuż za ormiańskim kościołem prowadzi w dół stromo ku Czeremoszowi opadająca uliczka. Schodzimy wśród domków niedużych, schludnych, otoczonych bujnymi sadami. Tu właśnie mieszkają stare rodziny ormiańskie, o charakterystycznych nazwiskach, urobionych często od imion biblijnych, owi Mojżesowicze, Agopsowicze, Nikorowicze, Janowicze i Łazarowicze. Stare to rody rycerskie, wywodzące się od mitycznego Haiga, księcia ludu olbrzymów, co przy budowie biblijnej wieży babilońskiej pracowali. Przez tysiące lat walczyli dzielnie z Babilonią i Asyrią, z wszystkimi chyba ludami starożytnego Wschodu, broniąc swej bogatej kultury i niemniej bogatej ziemi. W późniejszych czasach walczyli z uciskiem Persów, by ulec wreszcie przemocy tureckiej. Uchodząc przed nimi osiedlili się na wybrzeżach Morza Czarnego, gdzie założyli wiele bogatych miast handlowych, a wypierani i stamtąd, poszli w głąb Europy. Przyjęci szczerym sercem, przywiązali się do niej wkrótce, a odpłacili w ciągu wieków niejednokrotnie sercem męznym i hojną, ofiarną dłoń. Czy kiedy chodziło o wykup zabranych w jasyr tatarski lub turecki, czy kiedy trzeba się było dowiedzieć, co się gotuje na Krymie i w Istambule, gdy królowie polscy ślali do chanów tatarskich i władców tureckich poselstwa, nie obeszło się nigdy bez Ormian, najlepszych znawców Wschodu i najpewniejszych, najwierniejszych ludzi. A jakże często topniały majątki ormiańskie na ołtarzu Ojczyzny, gdy trzeba było złota na obronę przed nieprzyjacielem lub na okup, ileż krwi Ormian przełało się w obronie polskich zamków i miast. Nie dziw, że wielu wśród nich obdarzyli królowie polscy szlachectwem i rozległymi ziemiami, że dziś widzimy w nich braci, że ich szanujemy i miłujemy.

Wspomnienia tych pradawnych dziejów i tych późniejszych czasów, w nowej już Ojczyźnie spędzonych, każą silniej bić sercu każdego Ormianina, gdy pozostawiwszy za sobą gdzieś w świecie codzienne zajęcia i kłopoty, znajdzie się wśród swoich, w tej jakby oazie ormiańszczyzny — w Kutach.

Na Boże Narodzenie, Wielkanoc, a zwłaszcza na wielki odpust odprowadzany tu na św. Mikołaja i św. Grzegorza, patrona Ormian, zjeżdżają się do Kut

Ormianie z wielu miast polskich, a także z Rumunii, głównie z Besarabii. Słynne były także liczne, wspaniałe zjazdy weselne. Przy tych sposobnościach odprawia się tu dziś jeszcze stare obrzędy, zachowuje dawne obyczaje. Szczególnie uroczyste obchodzi się Święta Bożego Narodzenia. Ścisły post i rozdzielenie jałmużny między ubogich poprzedza ucztę wigilijną, do której zasiadają dopiero, gdy się pierwsza kołęda pod oknami odezwie, odmawiając „Ojcze nasz” i dzieląc się opłatkiem. Ojciec rodziny rzuca łyżkę kutii pod sufit, by z ilości ziarenek spadłych na talerze uczestników ucztę ich pomyślność w interesach przepowiedzieć. A kto znajdzie w tradycyjnym barszczu z ryby tzw. dołwat, czyli jedyne, specjalnie duże uszko, tego czeka szczególnie dobra dola, ożenek lub zamęcie. W czasie uczt wigilijnej przychodzą kołędnicy, dzieci szkolne, śpiewając popularną ormiańską kołędę, tzw. mały Awedis. Jest w niej mowa o hołdzie pasterzy i dzieciństwie Jezusa, o jego nauce szkolnej i prośba o błogosławieństwo dla uczącej się młodzieży.

Nazajutrz śpiewa się po mszy św. tzw. wielki Awedis, prastarą pieśń, najświętszą i najdroższą dla każdego Ormianina. Całe życie Jezusa stanowi jej treść wypowiedzianą w starym, ormiańskim języku, jakim w Polsce jeszcze tylko w Kutach mówią.

O pięknych zwyczajach wielkanocnych, o pisanekach i związanych z nimi obrzędach, o patriarchalnych zwyczajach i obrzędach weselnych, chciałbym opowiedzieć kiedyś w specjalnej audycji muzyczno-słownej. Teraz jeszcze tylko na zakończenie kilka słów o samym miasteczku.

Wedle tradycji miał je założyć przybyły z Mołdawii Ormianin, Krzysztof Szadbej, którego potomkowie dotąd nazywają się Osadcami, zdaje się jednak, że wcześniej istniała tu jakaś osada, skoro już w 1469 r., Jan Odrowąż przedstawił dokumenty, na których mocy „trzymał” wieś królewskie Kut i Rybno.

W 1565 r. mieszkali tu wolarze i owczarze, był młyn na Czeremoszu i bania solna, czyli warzelnia soli. Dopiero w dokumencie z 1579 r. jest mowa o licznych Ormianach zamieszkujących tę wieś. Ormianie ci trudnili się kupiectwem i wyrobem safianu, a warzelnie soli, zwłaszcza w Starych Kutach, czynne były aż do roku 1790. Była to w ostatnich dziesiątkach lat Polski przedrozbiorowej znaczna i bogata osada, świadczy o tym istniejące tu wówczas starostwo niegrodowe. Później nastąpiło zubożenie i stopniowy upadek, a silna infiltracja obcych elementów zatarła częściowo odrębny charakter Kut. Dziś mają one pod względem gospodarczym tylko lokalne znaczenie, ale nie straciły głębokiego przywiązania w sercach polskich Ormian, dla innych zaś są miłym, słonecznym i ogromnie interesującym letniskiem oraz punktem wypadowym cudownych wycieczek w głąb Huculszczyzny.

Problemy podtrzymywania świadomości narodowej w stolicy Galicji*

Pamięci
prof. dra Mieczysława Gębarowicza

Z dużych miast polskich Lwów pierwszy, już w 1772 r. przeszedł pod obce panowanie i nie mógł uczestniczyć w odrodzeniu kultury i nauki epoki stanisławowskiej. Wprawdzie niedługo po przejściu miasta we władanie austriackie, bo w 1784 r. zorganizowano na podstawie dyplomu fundacyjnego Józefa II uniwersytet (mający zastąpić akademię założoną w 1661 r. przez Jana Kazimierza), lecz w praktyce miał on kształcić zdolnych urzędników austriackiej administracji państwowej. Spolszczony został dopiero w 1871 r., krótko po otrzymaniu przez Galicję autonomii.

Wyjaśnienie polityki władz znaleźć można w tajnym piśmie austriackiej Komisji Dworskiej z 1791 r. Czytamy tam, że prawdziwy interes monarchii wymaga, by naród polski przekształcić w ludność niemiecką, że jego zwyczaje i sposób myślenia winny być zmienione; najpewniejszą gwarancją uniemożliwienia lub co najmniej utrudnienia powrotu do państwa polskiego będzie pogłębienie różnic w zachowaniu, narodowych zwyczajach i mowie, między Galicją i Polską.

Postępowanie zaborców budziło opór. I tak, np. poza niezbędnym minimum unikano kontaktów z zaborcą, bojkotowano kontakty towarzyskie oraz język niemiecki. Na Wydziale Teologicznym uniwersytetu Austriacy popierali dla grekokatolików język cerkiewno-słowiański, ale ruscy księża musieli swym klerykom wyklądać po polsku, bo tego języka klerycy używali. Ormianie natomiast, stanowiący już wówczas grupę nieliczną i nie mogącą być dla zaborcy wygodną przeciwwagą dla dominującego żywiołu polskiego, spotykali się z różnego typu restrykcjami. Po Wiośnie Ludów w walce z polskością miasta zaczęto popierać nie wykształcony jeszcze literacko język ruski, czyniąc go obowiązkowym w szkole średniej, gdy tymczasem polski był nadobowiązkowy.

Nie mogąc rozwijać efektywnej działalności politycznej w zaborze austriackim bardziej światłe jednostki starały się pracować dla dobra kraju poprzez działalność na polu kultury narodowej, tworząc różnego rodzaju instytucje i podejmując różnorakie inicjatywy. Na pierwszym miejscu należy tu wymienić Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, który po rozbiorach osiadł w Baden koło Wiednia i od 1793 r.

gromadził różne druki i rękopisy, zwłaszcza odnoszące się do Polski. Zbiory swoje przewiózł w 1817 r. do Lwowa i w 1829 r. utworzył Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Niemal jako symbol traktować można topograficzne umiejscowienie tej instytucji: u stóp góry Wronowskiej, na której później zaborcy wzniesli cytadelę, będącą widocznym znakiem austriackiego panowania we Lwowie i w całej Galicji. Nie sposób tu przedstawić całokształtu działalności Ossolineum, lecz warto wspomnieć przynajmniej parę dokonań: nową, sześciotomową edycję słownika Lindego, podstawowe wydawnictwo źródłowe *Monumenta Poloniae Historica*, gramatykę Małeckiego. Już tylko te pozycje świadczą dowodnie o znaczeniu jednego tylko, wydawniczego, nurtu zainteresowań Zakładu dziejami i językiem narodu oraz tworzeniu podstaw do pracy naukowej w tym kierunku.

Ks. Henryk Lubomirski, za namową Ossolińskiego, zdeklarował się w 1823 r. wcielić do Ossolineum jako odrębną całość swoje przeworskie zbiory narodowych pamiątek i dzieł sztuki. Dopiero jednak jego syn Jerzy w 1870 r. przeniósł kolekcję do Lwowa, z której we wschodnim skrzydle Zakładu zorganizowano Muzeum im. Lubomirskich.

Działalność Ossolineum nie przebiegała bynajmniej bez wstrząsów powodowanych ingerencją władz austriackich w wewnętrzne sprawy instytucji i w zakres jej działalności wydawniczej. I zresztą nie bardzo można się dziwić, że w polityce zaborcy zmierzającej do unifikacji wcielonej do cesarstwa prowincji niektóre przynajmniej poczynania Zakładu Narodowego (pomimo zaszczytnej opieki Najjaśniejszego Pana) żadną miarą nie mogły uzyskać aprobaty Austriaków. Przykładem niech tu będzie nielegalna wytwórczość litograficzna Ossolineum, np. *Pieśni patriotyczne z czasów rewolucji polskiej 1830 z muzyką na fortepian i gitarę*. Podane miejsce wydania: Lipsk, jest fikcyjne, nie podano też firmy wydawniczej. Litografia przy drukarni Ossolineum powstała w 1832 r., zamknięto ją zaś na mocy zarządzenia policji w 1834 r. Zakład Narodowy wytrzymał jednak wszelkie próby. Poetycznie ujął to Wasylewski: „Pogasły ogień Krzemieńca i Wilna, znicz ossoliński przetrwał i nie dał się zdmuchnąć”.

Inną godną wzmianki, lecz o mniejszym znaczeniu instytucją była Biblioteka Pawlikowskich, dzieło właściciela Medyki, Jana Gwalberta Pawlikowskiego, zbieracza druków i rękopisów, posiadacza kolekcji grafiki, przedstawiającej portrety osobistości, sceny historyczne, widoki miast i zabytki architektury. Zbiory medyczne w 1849 r. przewieziono do Lwowa i złożono w klasztorze o.o. Dominikanów, potem

* Artykuł niniejszy jest skróconą wersją pracy opublikowanej (wraz z przypisami w języku angielskim) w „Seminariach Niedzičkih”, V, Kraków 1991 r.

udostępniono je w oficynie przy ul. 3 Maja. Dopiero w 1921 r. rodzina Pawlikowskich włączyła je do zbiorów Ossolineum.

Teatr polski działał we Lwowie niemal regularnie od 1770 r. Teatr letni w ogrodzie Jabłonowskich zbudował w 1796 r. Wojciech Bogusławski. Za datę powstania stałej lwowskiej sceny polskiej, założonej przez jego ucznia Jana Nepomucena Kamińskiego, przyjąć można natomiast rok 1809. Kamiński działał we Lwowie 33 lata. Przyjęcie programu dydaktycznego za Bogusławskim stanowiło obowiązek patriotyczny. Strój narodowy polski, dzieje ojczyzny i aluzje polityczne znajdowały poparcie widowni lwowskiej.

Dla rozbudzenia świadomości narodowej w okresie zaborów nie bez racji wydaje się podsycanie zainteresowań zabytkami przeszłości, przypominanie ważnych dla dziejów ojczystych zdarzeń i postaci. Sięganie do przeszłości nie było zresztą w okresie romantyzmu cechą wyłącznie polską, lecz u nas, ze względu na brak niepodległego bytu państwowego, nabrało specyficznego charakteru. Rycina i obraz miały już na długo przed Matejką uczyć miłości ziemi i tradycji ojczystej, a przypominanie świetnej przeszłości miało budzić nadzieję na przyszłość.

W 1773 r. Józef Piller założył we Lwowie drukarnię, przy której w 1821 r. Piotr Piller otworzył zakład litograficzny. Wyszło z niego wiele portretów wybitniejszych postaci związanych z rozwojem kultury w Galicji. Za ważniejsze jednak uznać wypadnie zasługi Pillerów — jako wydawców widoków — w dziedzinie krajoznawstwa i turystyki. Być może bez wyraźnych tendencji mimo woli szerzyli oni zamiłowanie do piękna ojczystej przyrody, a przecież z pochodzenia nie byli Polakami. Tytułem konkretnych przykładów trzeba wymienić *Zbiór najpiękniejszych okolic w Galicji* (35 rycin folio, 1 zeszyt z końcem 1823 r.), *Zbiór widoków celniejszych w Polsce* (realizacja w latach 1825—1827) oraz wydanie *Galicja w obrazach, czyli galeria litografowanych widoków okolic i najznakomitszych zabytków w Galicji, z opisaniem obrazów w języku polskim i niemieckim* (1837—1838).

Pewną rolę w podtrzymywaniu świadomości narodowej odgrywała prasa. W latach 1792—1798 wychodził we Lwowie „Dziennik Patriotycznych Polityków”, przemycający sporadycznie wiadomości polityczne. Stosowny dobór aktualnych informacji oraz artykułów o treści biograficznej, historycznej i gospodarczej powodował, że pismo to było prężnym organem opinii patriotycznej. Po 1815 r. problematyka polityczna została jednak usunięta z łamów pism lwowskich. W latach 1817 i 1828—1829, w czasie wojny rosyjsko-tureckiej, kiedy rząd austriacki pragnął pozyskać przychylność Polaków, złagodzone nieco restrykcje. Zezwolono wówczas na utworzenie Zakładu im. Ossolińskich i katedry języka polskiego na uniwersytecie lwowskim.

Od lat trzydziestych wychodziło we Lwowie pismo „Lwowianin przeznaczony krajowym i użytecznym wiadomościom, wydany w połączeniu prac miłośników nauk”. Zamieszczało ono wiele artykułów, niekiedy ilustrowanych. Ryciny przedstawiały zabytki sztuki nie tylko Lwowa, ale i innych miast polskich.

W okresie 1832—1848 Lwów staje się ważnym centrum polskiej konspiracji niepodległościowej. W pierwszych latach po upadku powstania listopadowego czynnikiem podsycającym myśl wolnościową stanowili w Galicji byli powstańcy, ukrywani zarówno we dworach szlacheckich, jak i w domach mieszczanśkich. Znaleźli się wśród nich pisarze — Seweryn Goszczyński, Wincenty Pol, Lucjan Siemieński, August Bielowski. Załamanie się ruchów wolnościowych Wiosny Ludów z kolei było dużym ciosem dla kraju i Lwowa: symbolem tego w dziedzinie kultury może być zniszczenie zbiorów naukowych i biblioteki uniwersyteckiej. Warto w tym miejscu wspomnieć zasłużonego lwowskiego krajoznawcę Antoniego Schneidera, który uważał że prócz walki orężnej jest jeszcze inny sposób służenia ojczyźnie, mianowicie przez badanie jej przeszłości i zabytków. Schneider przedsięwziął wycieczki krajoznawcze, rozkopywał cmentarzyska, dokonywał wypraw na strychy antykarskie i do składów z makulaturą, gromadził akta. Opracował przewodnik historyczny po Lwowie (1871), drukowany u Pillera, wydał dwa tomy encyklopedii krajoznawstwa Galicji. Pozostawił po sobie bogate zbiory materiałów historycznych.

Coraz większą rolę w uświadamianiu narodowej przeszłości, a niekiedy i współczesności, zaczęło odgrywać malarstwo. Artur Grottger uczył się rysunku i malarstwa we Lwowie u J. Maszkowskiego i J. Kossaka, i tu pod kierunkiem tego pierwszego namalował ok. 1850 r. pierwszą kompozycję olejną: *Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa*. Jego prace były wystawiane we Lwowie od 1851 r. Ważniejsze wystawy dzieł artysty przedstawiono m.in. we Lwowie w latach 1870, 1885, 1894, 1906, 1962.

Lwów — poza Krakowem oczywiście — był miastem najsilniej chyba związanym z Matejką. W 1869 r. pod wrażeniem wystawionego wtedy obrazu Unii Lubelskiej miasto przyznało artyście honorowe obywatelstwo. Kilkakrotnie bywał on we Lwowie i warto zaznaczyć, że mimo przemożnego cechującego jego twórczość zaangażowania w dzieje narodu polskiego, cieszył się poważaniem i uznaniem również wśród Rusinów lwowskich, przykładem może być zaproszenie go na wystawę starożytności ruskich przez prezesa Staupigii Iz. Szaraniewicza. Ważnym wydarzeniem tego czasu było upamiętnienie namalowanego przez Mistrza Jana zdarzenia — Unii Lubelskiej — kopcem usypanym na wzniesieniu, na którym stał niegdyś Wysoki Zamek. Franciszek Smolka pisał: „Tego rodzaju pomnik odpowiada prastarej tradycji słowiańskiej [...] zrośnie z życiem duchowym całego narodu, bo i najbiedniejszy miłujący ojczyznę równie jak i najbogatszy pracą rąk przyczyni się do tego dzieła [...] Piramidy Faraona runą, a kopiec nasz stać będzie niewzruszenie, głosząc pokoleniom szczytną zasadę bratniej miłości: równi z równymi, wolni z wolnymi”.

Ostatnie uwagi świadczą — jak się wydaje — o aktualności problemu słownofilstwa, pojawiającego się w Galicji już wcześniej. W 1821 r. powstało we Lwowie Towarzystwo Zwoleńników Słowiańszczyzny, założone przez Ludwika Nabelaka. Nawiązało ono współpracę z badaczami czeskimi, słowackimi

i serbskimi. W 1834 r. zaczął ukazywać się we Lwowie dziennik literacki „Ziewonia”, wokół którego grupowali się literaci związani z Ossolineum: August Bielowski, Emil Korytko, Aleksander i Józef Borkowscy, Karol Szajnocha. Na wsie wschodniej Galicji udają się zbieracze pieśni ludu polskiego i ruskiego, jak Żegota Pauli, Michał Stanisław Głowacki, Michał Zalewski, Józef Łoziński.

W latach sześćdziesiątych sytuacja ogólna Galicji poprawia się, wkracza ona bowiem w okres autonomii. Warto przypomnieć, że tzw. dyplom październikowy (20 X 1860) wydał Franciszek Józef za radą ministra stanu Agenora hr. Gołuchowskiego, trzykrotnego namiestnika galicyjskiego. Właściwy czas przemian to przełom lat 1867 i 1868: ustrój konstytucyjny i decentralizacja władzy ustawodawczej i wykonawczej stworzyły warunki bardziej prawidłowego rozwoju narodu polskiego w ramach monarchii Habsburgów.

W 1871 r. następuje spolszczenie Uniwersytetu Lwowskiego, na którym w 1898 r. powstaje Instytut Historii Sztuki Nowożytnej. Wcześniej, bo w 1868 r. założono Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, organizujące corocznie wystawy w sali politechniki. W ramach działalności Ossolineum powstają w 1886 r. dwie instytucje: Polskie Towarzystwo Historyczne oraz Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza. W zakresie służby konserwatorskiej Galicję w 1873 r. podzielono na dwa okręgi: wschodni — lwowski i zachodni — krakowski. Konserwatorem lwowskim został Wojciech Dzieduszycki. Prowadził on restaurację licznych kościołów obu obrządków, kierował wykopaliskami, odnowił Towarzystwo Archeologiczne, pisał też prace z zakresu historii sztuki. W 1894 r. został docentem, a w 1896 r. profesorem historii filozofii i estetyki. Jego krewny, Maurycy Dzieduszycki, wydał w 1872 r. pracę o katedrze łacińskiej we Lwowie; we wstępie stwierdził, że naród mający wielką przeszłość, chcąc być poważany przez innych, powinien pielegnować rodzimego ducha oraz cenić i zachowywać zabytki swej przeszłości.

Reskryptem z dnia 19 grudnia 1899 r. c.k. Namiestnictwo zatwierdziło Statut Związku Polskich Artystów we Lwowie. Celem tego stowarzyszenia było m.in. „ochroniać interesa moralne i materialne sztuki polskiej, zastępować w kraju i za granicą sprawy sztuki polskiej”, a także organizować wystawy, odczyty, pogadanki naukowe na temat sztuki. Założycielami związku byli zarówno architekci, jak i rzeźbiarze oraz malarze. I oczywiście w 1906 r. powstało we Lwowie Towarzystwo Miłośników Przeszłości, mające w programie opiekę nad zabytkami. Wśród spraw wiążących współczesną sztukę z pamięcią o narodowej świadomości wypada wspomnieć, że w 1883 r., a więc w 200 rocznicę odsieczy Wiednia, Rada miejska Lwowa postanowiła wystawić pomnik głównemu bohaterowi tej bitwy, którego rodzina była mocno związana ze Lwowem i jego okolicą: ojciec Jana III na „Sobieszczyź-

nie” miał dwór, w 1640 r. nabył kamienicę w Rynku, 1642 r. ufundował kościół i klasztor Karmelitanek we Lwowie.

Przeglądając ówczesne publikacje można odnieść wrażenie, że ważnym wydarzeniem w oczach piszących miała być Powszechna Wystawa Krajowa, urządzona w stolicy Galicji w 1894 r., połączona z otwarciem „Panoramy Raclawickiej”. We wstępie do przewodnika po mieście i wystawie wyrażono nadzieję, że zajmie ona „chlubne miejsce w dziejach naszego starodawnego grodu”. Wystawa winna wskazywać sposób na zlikwidowanie moralnej i materialnej „nędzy Galicji...”. „I dlatego oczekujemy w uroczystym nastroju ducha tej chwili, gdy uwaga całego narodu polskiego, tudzież jego przyjaciół i nieprzyjaciół zwróci się na miasto nasze”. Wystawa przedstawiała różne strony życia ówczesnej Galicji, miała też dział sztuk pięknych i architektury. Katalog działu sztuki informował m.in. o dziełach o treści patriotycznej, np. o obrazie Włodzimierza Szereszewskiego *Etap na Syberię*, rzeźbie Leonarda Marconiego *Kościuszko* (projekt pomnika) czy rysunku Stanisława Wyspiańskiego *Postać Polski* (fragment z witrażu przedstawiającego *Śluby Jana Kazimierza*).

W 1868 r., a więc na początku „ery autonomicznej” Galicji, w jej stolicy zaczęła wychodzić „Strzecha — pismo ilustrowane dla rodzin polskich...”, nakładem księgarni J. H. Richtera. I tutaj, jak niegdyś w „Lwowianinie” przedstawiano wiele zabytków sztuki na ziemiach polskich, nieraz z patriotycznym komentarzem, jak choćby w I roczniku w artykule Lucjana Tatomira o dworku myśliwskim Jana III w Jaworowie: „Cała ziemia polska, jak daleko sięgają jej kresy, to jakby wielka księga pisana ciosem i kielnią murarską, mieczem i krwią [...] Nasze strony, starodawna ziemia laska, Ruś czerwona, to właśnie najobfitsza i najpiękniejsza karta tej księgi... taką ziemię ciągłych zapasów rycerskich [...] ukończyli i bohaterscy królowie nasi”.

Przedstawione wyżej pokrótce tylko niektóre instytucje, postacie oraz wypowiedzi związane z tworzącą się sztuką i kulturą, powinny wykazać, jak bardzo myśli i uczucia patriotyczne przenikały różne pola działalności kulturalnej tego tak bardzo długiego okresu zaboru austriackiego. Stolica Galicji jako siedziba wielu instytucji centralnych tej prowincji wiekowej, lecz kończącej się monarchii Habsburgów, miała lepsze warunki rozwoju niż inne ośrodki zaboru austriackiego, choć musiała być też „lepiej” pilnowana w dobie przedautonomicznego ucisku narodowościowego. Udało się jednak, choć nie bez strat, okres ten przetrwać, a istniejący do dziś, z bardzo okrojonymi niestety zbiorami, Zakład Narodowy im. Ossolińskich jest największym chyba pomnikiem tej epoki. Czas po uzyskaniu autonomii został więc dobrze wykorzystany dla moralnego zrywu narodowego od roku 1914 oraz budowy kultury narodowej w odrodzonej Polsce.

ANNA NIKLIBORCOWA

Słów kilka o tajnym nauczaniu

Gdy w czerwcu 1941 r. Niemcy zajęli Lwów, wiedziałam, że jesienią nie powrócę do szkoły, w której z nakazu kuratorium musiałam uczyć od wkroczenia do Lwowa Rosjan 17 września 1939 r. Zaczęłam od starań u władz niemieckich o pozwolenie nauczania języków francuskiego i niemieckiego. Na francuski nie zgodzili się, ale otrzymałam zezwolenie na język niemiecki. Gdy dowiedziałam się, że moi znajomi – Michał Łukasiewicz nauczyciel łaciny i mój kolega z gimnazjum królowej Jadwigi, oraz asystentki prof. Twardowskiego i prof. Ajdukiewicza – dr Izidora Dąbska i dr Fryderyka Jarzębińska – organizują tajne liceum, zgłosiłam chęć uczestniczenia w tej placówce. Mieszkalam w dobrym punkcie, przy ul. Ossolińskich 11 w wielkiej przechodniej kamienicy, gdzie na I piętrze od frontu moja siostra oprócz pracy w szpitalu prowadziła prywatną praktykę lekarską, a poczyty dozorca pan Szymon, dobry Polak, mógł w razie czego pomagać skutecznie swoją postawą.

Zgłosili się uczniowie chętni do nauki języków polskiego, łaciny i niemieckiego. Będąc romanistką musiałam zapomnieć o francuskim i włoskim. Łacinę znałam dobrze jako absolwentka gimnazjum realnego starego typu, gdzie od klasy pierwszej do matury było tego języka chyba po 5 lekcji tygodniowo. Z języków nowożytnych składałam w roku 1926 egzamin dyplomowy przed państwową komisją egzaminacyjną i oprócz języka francuskiego, jako przedmiotu głównego, otrzymałam dodatkowe uprawnienia do nauczania jęz. polskiego i niemieckiego, zaliczywszy w czasie studiów odpowiednie wykłady i proseminaria.

Wkrótce zaczęły się zajęcia. Przychodziło po kilku uczniów zdyscyplinowanych, chętnych do nauki, zdających sobie sprawę z niezwyklej naszej sytuacji. Nie znałam wszystkich nazwisk, ale niektóre pamiętam. Przychodziła przez pewien czas cała grupa z Olkiem Kłodą na czele, w której skład wchodził i Marek Słonecki, brat Krystyny, która zdała maturę w polskim jeszcze gimnazjum im. Królowej Jadwigi. Po kilku tygodniach okazało się, że była to tajna podchorążówka i wszyscy zostali aresztowani. Wpadł do mnie ktoś z biletem kolejowym do Krakowa i z poleceniem, aby natychmiast wyjechać ze Lwowa, „bo nazwisko Pani już padło w Gestapo”. Jakże mogłam wyjechać zostawiając dziecko Męża i resztę rodziny? Okazało się, że mnie nie szukali, na czerwonych afiszach natomiast czytałam ze zgrozą nazwiska swych uczniów. Pani Słonecka straciła dwoje swych wspaniałych dzieci. Nie miałam odwagi spotkać się z Nią.

Chodził na zajęcia przez pewien czas Wojtek Korowicz, który pracował w sklepie u Meinla, znanej i przed wojną firmie przy ul. Akademickiej. Jemu najbardziej potrzebny był język niemiecki. Wkrótce jednak zniknął, nie przychodził na lekcje, zdaje się wyjechał z Polski.

Pamiętam dwoje dzieci pp. Dudryków. Pani Helena Dudrykowa, najstarsza córka prof. Twardowskiego, zapisała na tajną naukę Ewę i Jasia. Chodziłam uczyć ich do mieszkania przy ul. św. Zofii, ale niedługo to trwało.

Do mnie na Ossolińskich przychodzili wciąż nowi uczniowie, których znałam często tylko z imienia. Z nazwisk wymienię jeszcze Jana Cygana, Władysława Skornego, Wandę Aulich i Romana Marciniaka. Wandę Aulich i Romana Marciniaka doprowadziłam do matury, którą składali już po powrocie Rosjan, oczywiście jak najbardziej tajnie – pod przewodnictwem prof. Marii Chmielewskiej. Spotkałam ich po wojnie we Wrocławiu.

Najchętniej uczyłam łaciny i chyba szło mi to najłatwiej. Bardzo byłam dumna z zaufania, jakie pokładał we mnie prof. Cygan, znany lwowski filolog, który posłał do mnie na naukę własnego syna. Sam Profesor uczył mnie łaciny w swoim czasie w gimnazjum ss. Urszulanek na górze Jacka.

Jeśli chodzi o język niemiecki, nie czułam się na tym polu najpewniej, ale najwięcej pracy musiałam wkładać w nauczanie języka polskiego. Wiele wysiłku kosztowało mnie zwłaszcza przygotowanie lekcji na temat Norwida, którego kult po reformie jędrzejowiczowskiej był bardzo rozbudowany, a o którym w naszym starym, realnym gimnazjum niewiele mówiono. Douczyłam się jednak sama i wyszło nieźle. W programie nowego liceum pozostał oczywiście Żeromski, którego – jak sądzę – wielbiło całe moje pokolenie. Spotkałam się jednak też z innym zdaniem: „Błagam, niech Pani nie każe mi czytać tej okropnej *Wiernej rzeki* – ja się z tym nie mogę pogodzić, nie mogę!” Mówiła to jedna z najinteligentniejszych moich uczennic z tajnego liceum. I oczywiście lektury nie przeczytała.

Zdyscyplinowani na ogół i bardzo chętni do nauki uczniowie tajnego liceum mieli niekiedy swoje kaprysy, które należało szanować. Oto jak mnie „zastrzelił” jeden maturzysta. Chcąc się przekonać, czy potrafi logicznie uporządkować budowę jednej z powieści, zaproponowałam mu, aby napisał proste jej streszczenie. Oburzył się dumny Roman: „Proszę Pani, to nie leży w mojej umysłowości” – wypalił. I nie nalegałam, szanując jego „umysłowość”. I tak dotrwaliśmy do końca. Po klęsce tajnej podchorążówki zorientowałam się, że we Lwowie tajne nauczanie nie groziło tak ciężkimi konsekwencjami jak w Warszawie.

Po wojnie, już we Wrocławiu, otrzymałam od prof. Reitera oficjalne zaświadczenie o moim udziale w tajnym nauczaniu we Lwowie w wymiarze 16 godz. tygodniowo.

Na podstawie tego zaświadczenia przyznano mi Medal Edukacji Narodowej, który wśród innych odznaczeń najbardziej sobie cenię.



Uniwersytet im. I. Franka we Lwowie

Dzieje wsi Maruszka w latach 1939–1944

Maruszka to polska wieś położona nad rzeką Pełtwią między Zadwórzem a Krasnem, stacja kolejowa Kutkorz na linii Lwów–Złoczów. W okresie dwudziestolecia międzywojennego wieś ta należała do pow. Złoczów, gminy Bezbrudy, wójtem był Jan Krzemień. Następnie urząd gminy przeniesiono do Krasnego, gdzie wójtem do 1939 r. był Andrzej Witos, krewny Wincentego Witos, wywieziony w transporcie 1940 r. do Komi ASRR. Wieś powstała na ziemiach folwarku rozparcelowanego w XIX w., a nazwę, jak mówiono, przejęła od szynkarki imieniem Maruszka. Dziadek mój Wincenty Grzywacz osiedlił się w Maruszcze w 1905 r., zakupiwszy 40 morgów pola. Przybył wraz z rodziną z pow. Tarnobrzeg. Kilkanaście rodzin polskich osiedliło się tu po 1918 r. Były to rodziny przeważnie wielodzietne, pochodzące z woj. krakowskiego. W starym dworze szlacheckim urządzono cztero-oddziałową szkołę oraz Dom Ludowy TSL. Były dom rządcy, budynki gospodarcze oraz resztę gruntu zakupił niejaki Dobrowolski. Współzycie maruszczań z okolicznymi wioskami polskimi, ukraińskimi i mieszanymi układało się dobrze. Tworzyły się mieszane małżeństwa, przyjaźnie, znajomości i więzy koleżeńskie. W szkole oprócz polskiego był także język ruski.

Sytuacja zmieniła się po wejściu Armii Czerwonej w dniu 17 IX 1939 r. Nałożono duży podatek na kościół i klasztor oo. Kapucynów w Kutkorzu. W lutym 1940 r. czasie mroźnej zimy podjechały do maruszczańskich domów sanie, na których oprócz ukraińskich woźniców znajdowali się funkcjonariusze NKWD. Po sprawdzeniu wykazu rozkazano mieszkańcom natychmiastowe opuszczenie domostw. Wszyscy zostali dowiezieni do stacji Krasne, gdzie czekały na nich towarowe wagony. Do Krasnego zwożono także Polaków z wielu okolicznych miasteczek i wsi, m.in. z Buska n. Bugiem, Jabłonówki, Mogił, Winny, Krasnego. Transport skierowano na północ ZSRR do lasów Komi. Z Maruszki wywieziono rodziny Madejów, Dobrowolskich, Paszkowskich, Skoczyńskich Nowaków, Krzaczkowskich, Wojcieszaków, Janików, Baczekowskich, Burzyńskich, Dalów, Jaroszków, Babirecką — matkę z dwójkiem malutkich dzieci.

Przerażające są losy tych ludzi. Znałe mi są z opowiadań świadków wypadki zamrażnięcia w stepie matki i córki, a także wyniesienia na rękach przez matkę zmarłych z głodu dwóch synków i pogrzebanie ich w dołku na skraju pasiołka. W transporcie w Krasnem znajdowała się znajoma moich rodziców z dwudniowym noworodkiem. Po wyruszeniu transportu dziecko zmarło i zrozpaczona matka wyrzuciła je z wagonu w śnieg. Po kilku tygodniach rodzice otrzymali list z prośbą o odnalezienie i pogrzebanie zwłok. Niestety, ojciec mój nie odnalazł już dziecka.

Do kraju po wojnie wrócili nieliczni. Do pustych i obrabowanych domów maruszczańskich przywieziono Łemków ze wsi Wyszyńka. Ukraińcy byli bardzo zadowoleni z sytuacji Polaków, śmiali się że wyjechali oni na „białe niedźwiedzie”, że będą wymiatać śnieg z Sybiru itp. Nie przewidywali, że z czasem i ich dotkną podobne represje. Oprócz deportacji były także aresztowania i rewizje dokonywane przez NKWD z Krasnego w asyście urzędników z „selrady” (sołectwa).

W moim domu rewizja była dwukrotnie, skonfiskowano duży zbiór filatelistyczny ojca, którego również aresztowano, lecz po przesłuchaniu zwolniono. Aresztowano także mego cioteczynego brata Jana Gorczycę, który uciekł z Sybiru krańcowo wyczerpany, zawszony i zarażony świerzmem, ukrywał się u nas. Uwieszono go na zamku w Złoczowie. Pewnej nocy wyłapano wszystkich uciekinierów z transportu sybirskiego w 1940 r. i osadzono w więzieniu w Złoczowie. W pobliżu Maruszki Rosjanie kontynuowali rozpoczętą przed wojną budowę autostrady Lwów–Kijów. Do pracy wykorzystywano polskich jeńców. W miejscowości Kozłów pod-

rzucalam im wraz z dziećmi ukradkiem chleb i owoce, gdyż przepędzali nas radzieccy strażnicy. Jeńcy byli głodni i brudni.

Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej w 1942 r. NKWD aresztowało w Maruszcze Jana Babireckiego, Sandeckiego z Kutkorza oraz kilku Ukraińców z Bezbrud i Kutkorza. Wszyscy zostali zamordowani na zamku w Złoczowie. Ludzie, którzy przywozili ciała swoich bliskich mówili, że trupów było ok. 3000. W ostatniej chwili zostali wypuszczeni na wolność ci, którzy uciekli z transportu w 1940 r. z Krasnego, w tym bracia Tadeusz i Jan Gorczyhowie. (Jan G. mieszka obecnie we Wrocławiu.) Po wejściu Niemców Ukraińcy znów poczuli się panami sytuacji. Za kilkudniowe opóźnienie w odstawie kontyngentu na Maruszkę zjechała karna ekspedycja, kilku Niemców i Ukraińców z Krasnego. W trakcie omłotów w moim domu skonfiskowano całe zboże, nie zostawiając nawet ziarna na zasiew. Woźnica jednej z furmanek zabrał chodniki z pokoju i wirówkę do mleka.

Na naszym terenie zbrodnie UPA rozpoczęły się latem 1943 r., gdy zbliżał się front od strony Tarnopola. Zaczęły ginąć pojedyncze osoby, np.: ksiądz Władysław Klakla wyrzucony z pociągu na szlaki Krasne–Kutkorz, Jan Jankiewicz z Kutkorza, Emilia Biskup z Maruszki, trzech młodych robotników powracających ze Lwowa do Milatyna Nowego, a nawet młody Ukrainiec, który krytycznie wyrażał się o mordowaniu Polaków. Winą za te zbrodnie obarczano Polaków lub ukrywających się Żydów. Nocami dookoła widać było łuny pożarów, rzeką Pełtwią płynęły trupy. W związku z nasilającym się zagrożeniem mieszkańcy wsi zaczęli organizować samoobronę. Komendantem tej grupy był Mach Stanisław (nie jestem pewna imienia). Ukraińcy mieszkający w domach sybirskich zesłańców bacznie obserwowali maruszczań. Przed świętami Bożego Narodzenia 1943 r. został porwany czternastoletni syn Macha — Zdzisław. Zmasakrowane zwłoki chłopca znaleziono w lesie wczesną wiosną. Ponieważ terroryści z UPA prawdopodobnie nie znali siły polskiej obrony, poinformowali Niemców, że we wsi znajdują się polscy partyzanci. Na początku kwietnia 1944 r. o świcie Niemcy podeszli pod wieś strzelając do ludzi. Członkowie samoobrony słabo i częściowo uzbrojeni myśląc, że wieś została zaatakowana przez UPA skupili się między zabudowaniami rodziny Raczków celem obrony. Dwaj czternastoletni chłopcy Mieczysław Grzywacz i Marian Kaczorowski przepłynęli wpław rzekę i mimo ostrzeliwania pobiegli do lasu, gdzie na bocznicę kolejowej stało wojsko niemieckie, by prosić ich o pomoc. Niemcy pomocy odmówili. Gdy Polacy zorientowali się, że Maruszkę atakują żołnierze niemieccy, nie użyli broni. Ku uciesze miejscowych Ukraińców Niemcy aresztowali wszystkich polskich mężczyzn i popędzili do Krasnego. Prawdopodobnie wskutek interwencji Macha aresztowani zostali zwolnieni, a nawet otrzymali od wojska karabiny. Jak mówiono, broń otrzymali również Ukraińcy.

Samoobrona polska była zbyt słaba, aby skutecznie bronić mieszkańców Maruszki. Pod koniec kwietnia 1944 r. część rodzin zapakowała swój dobytek na furmanki i pod ochroną uzbrojonych mężczyzn udała się na stację kolejową Krasne, gdzie załadowała się do wagonów i odjechała na zachód. Ukraińcy wiedząc, że nie napotkają oporu, w nocy z 2 na 3 maja 1944 r. zaatakowali wieś z obu końców pałac i mordując uciekających. Wcześniej spalono opuszczone domostwa rodzin Polów i Tworków.

Jak opowiadają mieszkańcy Maruszki, którym udało się uciec z życiem, do każdego domu podbiegali z ogniem upowcy, wśród których byli nawet nieletni chłopcy. W czasie pożaru zamordowani zostali: Anna Babirecka z synkiem, rodzina Warzszczaków, Markowskich (synowa Stefania — Ukrainka, która rozpoznała znajomego wśród napastników, prosząc o litość została żywcem wrzucona do ognia), rodzina Czerniaków, Lisiewiczów, mały Zenek Denys, syn Ukrainca i Polki, jak opowiadano, został nabity na sztachetę parkanu. Wielu było rannych i poparzonych, przerwani ludzie rozbiegli się na wszystkie strony. Rano, 3 maja 1944 r., zebrano zwłoki — ok. 60 osób zamordowanych i popalonych. Żyjący dotychczas niektórzy mieszkańcy Maruszki są rozproszeni po całym kraju.

Zagłada wsi Adamy – rok 1943

Po stłumieniu powstania w warszawskim getcie wiosną 1943 r. gestapo przystąpiło do likwidacji gett we wszystkich miastach tzw. Generalnym Gubernatorstwie. W lipcu zlikwidowano getto w Busku koło Lwowa, do którego spędzono miejscowych Żydów oraz z pobliskich okolic. Przed likwidacją getta pewna liczba jego mieszkańców zdążyła się schronić w pobliskich lasach i na nich urządzono oblławę pod koniec lipca 1943 r. Byłem wówczas we wsi Adamy, gdzie wczesnym rankiem pojawiło się kilku gestapowców z psami w towarzystwie kilkuset ukraińskich policjantów. Gestapowcy ogłosili przez sołtysa, aby mieszkańcy przechowujący Żydów dobrowolnie ich wydali, bo jeśli u kogoś znajdą Żyda, winny tego przestępstwa zostanie natychmiast rozstrzelany wraz z całą rodziną. Następnie wszyscy wyruszyli w lasy na oblławę, która trwała do późnych godzin popołudniowych. Złapano 23 osoby, w tym troje dzieci. Wszystkich przyprowadzono do jamy, do której wykopania zmuszono miejscowych chłopów. Do grupy tej dołączono jeszcze rodzinę gorzelnika pracującego w sąsiednim folwarku. Zarządca folwarku i gorzelni, Niemiec, oddał tylko żonę i dwoje dzieci, a gorzelnika zatrzymał jako potrzebnego specjalistę. Gestapowcy jednak na to się nie zgodzili i wysłali policjanta ukraińskiego, by przyprowadził gorzelnika. Niemiec, chcąc nie chcąc, musiał go oddać. Wyprowadzony z gorzelni na drogę zapytał policjanta, co zrobili z jego żoną i dziećmi. Jeżeli zastrzelili, to on dalej się nie ruszy i niech jego także zastrzelą. Policjant nie zastanawiając się długo zastrzelił go i kazał folwarcznym robotnikom zakopać przy drodze. Nie zdążyli jeszcze całkowicie zagrzebać zwłok, kiedy zjawił się posłaniec od zarządcy, aby zabrać klucze od magazynu, które gorzelnik miał przy sobie. Robotnicy byli zmuszeni odkopać trupa, by z kieszeni zabrać klucze.

Gestapowcy w tym czasie zdążyli ustawić złapanych i rozebranych do naga nad jamą i rozstrzelać. Po dokonaniu tej zbrodni opuścili wieś, zostawiając dwóch policjantów z posterunku we wsi Grabowa do pilnowania, aby chłopcy zasypali jamę z pomordowanymi.

Po odejściu gestapowców udałem się na miejsce zbrodni, które znajdowało się na skraju lasu w odległości kilkudziesięciu metrów od drogi prowadzącej z Buska do Toporowa oraz Domu Ludowego stojącego przy tej drodze. Na miejscu byłem świadkiem makabrycznej sceny: chłopcy pilnowani przez policjanta ukraińskiego zasypywali dół z pomordowanymi. Drugi policjant prowadził z lasu starszego Żyda, ustawił go obok zasypanej jamy, kazał mu się rozebrać do naga i z odległości najwyżej dwóch metrów strzelił mu w tył głowy z karabinu. Jak się później dowiedziałem, natknął się na tego staruszka siedzącego w krzakach, gdy wszedł do lasu za potrzebą. Sądzę, że był to jego pierwszy mord, bo bardzo zbladł patrząc na swój wyczyn, tj. trupa z rozwaloną czaszką. Odszedłem, by nie patrzeć dłużej na tę makabryczną zbrodnię. Nie przypuszczałem wówczas, że ci ukraińscy policjanci, szkoleni przez gestapowców w mordowaniu Żydów, wkrótce znajdą się w lasach, by jako UPA napadać na bezbronne polskie wsie, grabić je, palić i mordować w bestialski sposób ich mieszkańców. Taka była droga walki o „sławnu samostijnju Ukrainu, Ukrainu dla Ukrainciw bez Lachiw i Żydiw”.

Wież Adamy była całkowicie polska, tylko dwie rodziny uważały się za Rusinów, ale nie Ukraińców: rodzina Zawaliów i Rogockich. Mimo strasznego terroru i grożącej kary śmierci za przechowywanie Żydów, jedna rodzina żydowska we wsi się przechowywała i uratowała przed zagładą. Była to rodzina wędrownego handlarza z Buska o nazwisku Lipka, który często odwiedzał przed wojną wieś ze swoim różnorodnym towarem. Był ogólnie lubiany i szanowany. Wybudował on w lesie dwa bunkry, w których na przemian ukrywał się z rodziną, tj. z żoną i dwojgiem dzieci, nikogo we wsi nie narażając, tylko nocą zjawiał we wsi dla zdobycia pożywienia. W czasie oblawy przebywał z całą rodziną

w dawno opuszczonym i nie zamieszkałym domku, znajdującym się w środku wsi i nikt go nie wydał. Doczekał końca wojny i prawdopodobnie z całą rodziną wyjechał na Zachód.

Wprawdzie wsi udało się ocalić jedną żydowską rodzinę przed oprawcami gestapowsko-ukraińskimi, ale sama nie uniknęła zagłady. Fala mordów ludności polskiej dokonywanych przez UPA, zapoczątkowana w marcu na Wołyniu, przesunęła się już jesienią 1943 r. na województwa lwowskie, tarnopolskie i stanisławowskie. Wieś Adamy dobrze zorganizowana i uzbrojona w 1939 r. przez wojsko polskie, nie mogła korzystać z tego uzbrojenia bez narażania się Niemcom za posiadanie broni. Ukraińcy często uciekali się do prowokacji, donosząc Niemcom, że Polacy mają broń od sowieckich partyzantów, których przechowują. Wtedy Niemcy zbrojnie interweniowali, często używając do tego oddziałów SS-Galizien. W wyniku takiego donosu udało się im zlikwidować wieś koło Lwowa Hanaczów i Hutę Pieniacką w woj. tarnopolskim.

We wsi Adamy sołtys świetnie władał językiem niemieckim. Z pochodzenia był on Niemcem, czuł się jednak Polakiem i nie podpisał listy Volksdeutscha. Poradził sobie z Niemcami, przekonując ich, że powinni zaopatrzyć wieś w broń dla samoobrony przed napadami UPA, bo jeśli wieś zostanie zniszczona, to nie dostaną wyznaczonego kontyngentu zboża i żywności. Ten argument przekonał Niemców, bo oddali do dyspozycji sołtysa kilkanaście karabinów z amunicją, za które on wziął na siebie odpowiedzialność pod warunkiem, że będą użyte tylko w obronie przed napadami UPA. Mając oficjalnie broń niemiecką mieszkańcy wsi mogli śmiało wyjąć ze schowków swoją broń i ta dopiero pozwoliła im skutecznie bronić się przed napadami. Dzielnie odparli kilka ataków ukraińskich składających się z chłopów z okolicznych wsi ukraińskich, a zorganizowanych przez głośniego prowodyrę o ps. „Kopiak” (prawdziwe nazwisko Osip Kapij), który po wojnie zbiegł do Brazylii. Napady często się powtarzały, mieszkańcy nękani ciągłym czuwaniem i odpieraniem napadów byli wyczerpani i zmęczeni. Gdy w lutym 1944 r. oddział „Kopiała” zamordował we wsi Grabowa sześciu polskich pracowników Urzędu Nadleśnictwa, wśród nich mojego kolegę i przyjaciela mgr Kazimierza Kamińskiego, a napady na wieś nasiliły się, mieszkańcy wsi, korzystając z udzielonego przez Niemców transportu kolejowego postanowili wyjechać na Zachód w nadziei, że po skończonej wojnie powrócą do miejsca rodzinnego.

Nie wszyscy jednak wyjechali, pozostało kilkanaście rodzin przekonanych, że wkrótce te tereny zajmą Sowieci, a wówczas skończą się napady i mordy ukraińskie. Jakże się mylili. Władcom na Kremlu bardzo zależało na depolonizacji zagrabionych w 1939 r. terenów, więc działania ukraińskie były im na rękę; były skuteczniejsze w zmuszaniu Polaków, by wyjeżdżali na Zachód niż groźby deportacji na Sybir. W czasie okupacji tych terenów przez Niemców pozostali mieszkańcy wsi żyli spokojnie, ale od końca lipca 1944 r., gdy przesunął się front i tereny te ponownie zajęły wojska sowieckie, znowu rozpoczęły się bezkarne napady i mordy dokonywane przez UPA. We wrześniu, tj. w trzecim miesiącu działalności władzy sowieckiej, kiedy NKGB sprawnie panowało już nad zajęętym terenem, UPA napadła nocą na bezbronną wieś. Większość mieszkańców zdążyła ukryć się w lesie, pozostały tylko dwie rodziny, uważające się za Rusinów – rodzina Rogockich i Zawaliów oraz 80-letnia staruszka Franciszka Szeremeta i nieco starszy od niej Jan Dąbrowski. Wszyscy zostali bestialsko zamordowani, a wieś ograbiona i spalona. Zawiadomione przed zbliżającym się napadem władze w Busku zareagowały dopiero na drugi dzień. Pod wieczór zjawiły się trzy czołgi, by stwierdzić, że na miejscu wsi pozostały tylko zgłiszczki.

Po wielu, wielu latach, bo dopiero w 1977 r. udało mi się odwiedzić kochany Lwów oraz wieś Adamy, a raczej miejsce, gdzie kiedyś istniała tętniąca życiem wieś. Nie mogłem dokładnie określić terenu, na którym były zabudowania wsi. Przede mną rozciągała się olbrzymia powierzchnia uprawnych pól, świeżo zaoranych po żniwach. Przed wojną w środku przy drodze stała figura Matki Boskiej z żelaznym ogrodzeniem, w którego rogach rosły

4 lipy. Pozostały tylko dwie, dziś bardzo potężne. To one pozwoliły mi zorientować się, gdzie znajdowały się kościół, szkoła i Dom Ludowy przy drodze, a kilkadziesiąt metrów od niego na zachód miejsce, gdzie pogrzebano zwłoki ofiar mordy gestapowsko-ukraińskich ludobójców. Rozglądałem się też za cmentarzem, na którym znajdował się grób mego Ojca zmarłego tuż przed wojną w 1939 r. Z przerażeniem stwierdziłem, że cmentarz znalazł się w obrębie fermi kurzej ogrodzonej wysokim płotem, zupełnie zdewastowany, zarosnięty krzewami i drzewami. Aby dostać się na cmentarz, musiałbym pokonać wysokie ogrodzenie, co byłoby

bardzo niebezpieczne, gdyby mnie tam zauważył ktoś z fermi. Byłem bowiem cudzoziemcem przebywającym nielegalnie, bez zezwolenia milicyjnego, w obrębie państwowego przedsiębiorstwa, mógłbym być oskarżony o szpiegostwo. Dawny folwark, gdzie kiedyś była gorzelnia, również przekształcono na fermę kurzą. Zbudowano kilka domów mieszkalnych z cegły z rozebranego kościoła, szkoły i Domu Ludowego.

Z sercem pełnym bólu i smutku opuściłem to miejsce, udając się w drogę powrotną.

JERZY MASIOR

Te strony świata

Tarnopol miał odbicia od chmur i od fary,
pannę młodą po sadach,
w gruszach narzeczone,
a czerechy na świeci miał tylko Kliparów.
Żółkiew — kamienny alfabet,
Berdyczów był dla rymów,
do powrotów Chodorów,
z Kopca Zamarstynów.
W Bortnikach sen na stacji,
przez Dniestr do Czerniowiec,
a z peronu Podzamcza najświętszych chasydów
gnało z całego świata, ale wciąż do Brodów
i może do Podwłoczyk, może do Złoczowa?
W Żabiem i w Krzyworówni był targ na kolory,
a w Buczaczu starosta,
zdyszany szum Czeremoszu
i wciąż do tej pory
w Haliczu i Jazłowcu
stygnały te świętości,
a Madonnie z dna rzeki błękity przynoszą
i ulańskie po szarzy tam bieleją kości.
Stryj szumił szumem Karpat, rozpędem Oporu.
W Skolem śnieg po Trzech Królach,
w Rafajłowej marcowy,
— tam i tu te najszybsze,
te nasze hikory,
W Kołomyi młyn, fara — mgły od Czarnohory.
Przez rzekę, ogrodami
i nie wracać więcej,
i być tam rybą Prutu
i być tam już wiecznie.
I być tam, na Podolu wariacko, niedorzecznie,
i być tam, na Pokuciu przez groblę, nad Zbruczem.
Boże, czy ja się tego świata
nigdy nie oduczę?

JERZY MASIOR

Kwietniowy spacer po śródmieściu

Biegnie za nami — gwiazda — pamięć,
która jest stamtąd, z której zameć
i deszcz wiosenny i pogoda,
i tamten kwiecień po ogrodach,
co wprost spod Kopca, Teatyńską
pędził Wałową, Bernardyńskim,
przez Chorążczyzny w Jezuicki
i by wieczorem przy Halickim
skręcić przez Corso w Mikołaja,
gdzie to przeszliczne lwowskie dziunie
kwietniową porą rozkwitają.

Albo Legionów od fontanny
pod Teatr spacer odbyć pieszy
wolnućko — krokiem romansowym
i mieć to wszystko, co wciąż cieszy:
wiosenne gwiazdy ponad Lwowem,
bukiecik fiołków na zadatek,
bo przecież każdy lwowski kwiatek
zerwany gdzieś na Cetnarówce,
w niejednej mógł zawrócić głowę,
niejedno serce brać w niewolę,
bo kwiat — choć mały — grał swą rolę.
Wiatr też potrzebny — wiatr konieczny,
w tym Mieście, wiosną cug serdeczny,
w tych niby szumach, w tych muzykach,
z którymi po zaułkach zniknął,
od Franciszkańskiej przez Podwałę
gdzie na podwórku u Szajnoch
słońcem kasztany poosmalał.
Ten wiatr, to lwowski też był trochę.
Zanim na wzgórzu Karmelitów
posiadł seledyn, a z błękitu
tkał nam marzenia, świat za oknem,
te z Ruskiej Rynku perspektywy...
Dominikanie w deszczu mokną
i pejzaż stał się nieprawdziwy,
i pejzaż z mgły, z akacji woni,
a obraz taki, któż dogoni?

W ulicę jakąś szeptę, wiersze
i słowa wierne, słowa pierwsze
i w bramach pośród tamtych taktów
anielskie chóry od Korniaktów,
rynkowych fontann srebro chłodne,
po deszczu niebo znów pogodne,
milczenie okien, światła latarni...
Tego widzenia nikt nie zatarł,
ten obraz w sercu jest już wieczny
i serca rytm — tak niedorzeczny
i serca pośpiech — niecierpliwość
to dotykanie — i ta tkliwość.

Wieczorny spacer po Śródmieściu,
latarnie płoną wciąż gazowe,
żrenice płomień nam wciąż pieści
i gwiazda, która ponad Lwowem...

Szlak polskich żołnierzy września 1939 r. Berezowica Wielka k. Tarnopola

Urodziłem się we Lwowie, lecz choroba ojca i jego przejście z zawodowej służby wojskowej w 1937 r. do pracy w PKP zmusiły nas do kilku przeprowadzek. Ostatecznie osiedliliśmy się w Berezowicy Wielkiej, 9 km za Tarnopolem, gdzie ojciec objął posadę zawiadowcy stacji. Tam zastała nas wojna. Miałem wówczas 10 lat, lecz pamiętam wszystko bardzo dokładnie. Byliśmy bardzo przygnębieni i zrozpaczeni tym, co działo się po 17 września 1939 r.

Byłem świadkiem, jak rozproszeni żołnierze polscy zdawali broń, inni niszczyli ją łamiąc karabiny o tory kolejowe. Wielu w okropnej rozpacz krzyczało, że to zdrada — niektórzy płakali. Wkrótce dowiedziałem się, że mój ojciec jako oficer musi się ukrywać. Niedługo i my — cała rodzina — musieliśmy pójść w jego ślady. W okolicy rozpoczęły się masowe aresztowania byłych żołnierzy zawodowych i ich rodzin. Z wydarzeń tamtego okresu bardzo silnie utkwił w mej pamięci ciepły, późnojesienny dzień, gdy na stację w Berezowicy zjechał pociąg osobowy z polskimi oficerami. Transport liczył ze 30 wagonów, w których pomieszczono około tysiąc, a może więcej jeńców. Byli w mundurach, lecz bez pasów. Rosyjscy żołnierze pilnowali ich bardzo dokładnie. Wśród oficerów-jeńców znajdował się mój ojciec chrzestny. Ojciec dowiedział się, w którym jest wagonie, i polecił mi, abym mu się pokazał — trzymając w ręce gałązkę wiśni. Po porozumieniu się wzrokiem chrzestny podał mi przez okno wagonu gwizdek z kompasem. Gwizdek spadł na ziemię, a gdy schyliłem się, by go podjąć, poczułem nagle okropny ból w plecach. Cios kolbą karabinu w plecy zadał mi rosyjski żołnierz w czapce z czubem i gwiazdą. Potem zabrał mi gwizdek i odszedł. Z tamtego miejsca wyniósł mnie jeden z kolejarzy.

Moment ten wywołał we mnie okropny żal i nienawiść — przecież nic złego nie zrobiłem. Po rozmowie z rodzicami zrozumiałem sytuację, w jakiej znalazła się nasza Ojczyzna. Od tej chwili mimo wielkiego niebezpieczeństwa staraliśmy się pomóc jeńcom w miarę naszych możliwości. Kolejarze i pracownicy stacji wnosili do wagonów kolejarские mundury ukryte w wiadrach z pakulami lub innym czysciwem. Sam przenosiłem trzy takie „przesyłki”. Ilu uwięzionych skorzystało z tego przebrania i zbiegło — nie wiem.

Rankiem po kilku dniach stwierdziliśmy ze zdumieniem, że pociąg jest pusty. Naocznymi świadkami wydarzeń twierdzili, iż nocą wyprowadzono jeńców na drogę wiodącą do Trembowli i Zaleszczyk, a więc na wschód. W wagonach pozostało sporo mundurów, rzeczy osobistych i żywności. Ludzie wynosili, co się dało. Nic nie chcieli zostawić Sowiecom, a poza tym byli głodni. My sami z rodziną wynieśliśmy z tego pociągu pół beczki miodu. Cały skład pociągu zniknął na drugi dzień równie nagle, jak się poprzednio pojawił.

Jesień i zimę spędziliśmy w ukryciu — raz na wsi, to znów na stacji w Berezowicy. To, że jak wielu innych nie wywieziono nas na Sybir, zawdzięczamy szczęściu i pomocy uczciwego i dobrego człowieka — rosyjskiego kolejarza nazwiskiem Stupak. W Berezowicy znów staliśmy się mimowolnymi świadkami przechodzących ludzkie pojęcie wydarzeń.

Oto przez kilka dni koło naszego domu przegnano tysiące polskich żołnierzy. Kolumny kierowały się na wschód. Jeńcy znajdowali się w okropnym stanie. Tylko niektórzy ubrani byli w kompletne mundury. Wielu, mimo bardzo ostrego mrozu, miało na sobie tylko drelichy, nogi zaś poowijane szmatami i jakimiś gałganami. Byli niehumanitarnie wygłodzeni. Wraz z bratem podrzucaliśmy im chleb, buraki, ziemniaki i cokolwiek, czym mogliby chociaż oszukać potworny głód. Oczywiście trzeba było uważać na konnych strażników z psami. Jakiegokolwiek kontakty z jeńcami były bowiem zakazane. Ilu było jeńców? Tego dokładnie określić nie mogę. W każdym razie były ich tysiące, kilkanaście tysięcy.

Pierwsza grupa przechodziła koło naszego domu przez dwie doby — dniem i nocą. Potem nastąpiła krótka przerwa i przeszła druga grupa, równie liczna. Wielu prowadzonych padało z wyczerpania. Strażnicy uderzając kolbami albo batem zmuszali ich do wstawania. Wówczas koledzy brali ich pod pachy i wlekli dalej — jak dzisiaj już wiemy — na pewną śmierć. Po przejściu każdej grupy na śniegu pozostawały fotografie, dokumenty i przedmioty osobiste. Znosiliśmy je do domu, lecz rodzice palili wszystko z obawy przed kontrolą NKWD. Pewną niewielką część tych pamiątek — dokumentów — matka jednak zachowała i na wiosnę zakopała w ogrodzie obok ukrytej broni ojca. Miejsce to pamiętam bardzo dobrze do dzisiaj — może coś się zachowało, tylko w jakim stanie?

Po przejściu obu kolumn pozostało w śniegu kilka trupów, które pochowano w pobliskim lesie po prostu w śniegu, a wiosną gdy odmarzło — w ziemi. Osobiście zakopałem jednego z nich — był to młody chłopak tylko w koszuli. Pochowałem go w pobliżu naszego domu około 150 metrów od zabudowań. Czas mijał, żyliśmy w ciągłym strachu i obawie przed wywiezieniem na Sybir. Tak było do czasu najazdu hitlerowskiego. Do roku 1942 byłem na tamtym terenie łącznikiem — nosiłem żywność do leśnych ludzi. Od 1942 r. przeniesiliśmy się z rodziną do Jarosławia. Tam brałem udział w Młodzieżowych Grupach Sabotażowych — Oddział AK Lwów. To już nowy i również tragiczny rozdział mojego życia.

Pragnę, by te wspomnienia stały się częścią jakiejś całości może mało znanej.

Może ktoś, komu udzieliłem pomocy, żyje?

W końcu niech prawda zastąpi domysły i będzie przestrogą na przyszłość.

APEL

Towarzystwo Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich
Koło Stryjan w Gliwicach

Szanowna Redakcjo!

Prosimy o zamieszczenie w Waszym czasopiśmie konta bankowego, utworzonego w celu zebrania funduszy na pomoc dla Polaków zamieszkałych na Ukrainie, szczególnie w Stryju i okolicy

Stryja (Żydaczów, Skole, Brzozdowiec) oraz na pomoc dla odbudowywanych w ww. miejscowościach kościołów.

Sekretarz *Teresa Olszańska*

PKO Oddział Gliwice

Rach. Nr 27661-297758-132

Koło Stryjan przy TML i KPW

44-100 Gliwice, Pl. Inwalidów Wojennych 20

Ród Maszkowskich

Rozrastają się stale wrocławskie cmentarze — proces normalny. Piastowska ziemia nasycy się coraz bardziej polskością, także i w tym sensie. Tu, gdzie najwięcej lwowian, i na nagrobkach można odczytać ich miejsce pochodzenia. Ostatni pobyt u wszystkich taki sam — ich drugie rodzinne miasto...

Wyróżnia się wśród nich na Cmentarzu Grabiszyńskim z najstarszą datą (1838—1901) piękny secesyjny nagrobek, usytuowany w narożu 40 pola, przy skrzyżowaniu głównych alejek. Na pomniku grający na skrzypcach Geniusz, zapis nutowy (z ukochanego Brahmsa) i napis: „Raphael (Rafał) Maszkowski. Lemberg — Breslau... Przedstawiciel znanego i znanego rodu, na trwałe związany ze Lwowem i Wrocławiem. Jeden z pierwszych, którego wyniosło z rodzinnego gniazda na uczęszczaną później trasę, aby ostatecznie spocząć w tej, niby to obcej, a przecież polskiej ziemi”.

W dużej grupie obrazów przywiezionych ze Lwowa do Muzeum Narodowego we Wrocławiu znajduje się też *Autoportret* (1864) jego ojca, Jana. W okrojonych zbiorach Ossolineum z kolei figuruje *Autokarykatura* (rys. tuszem) jego brata Marcelego.

Skąd ich ród — już wiemy; w związku z tym wiemy też, że warto go poznać bliżej. W tradycji rodzinnej wywodzą się Maszkowscy od legendarnego Zyndrama z Maszkowic (tego spod Grunwaldu...), i imię to jest też często nadawane męskim jego przedstawicielom. Pierwszym jednak udokumentowanym protoplastą rodu był Felicjan (Felix) ur. w 1760 r.

Pierwszym „ważnym Maszkowskim” natomiast jest jego syn, Jan Kanty, malarz i pedagog (1794—1865). Urodzony w Chorostkowie na Podolu, zawdzięczał wychowanie i wykształcenie J. S. Lewickiemu, właścicielowi majątku. Wcześniej i trafnie ocenił on uzdolnienia malarskie i muzyczne małego chłopca. We Lwowie uczęszczał przez 4 lata do Akademii Stanowej przy Uniwersytecie. Następnie studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu pod kierunkiem J. Ch. Lampiego. Okazał się niezłym portrecistą, chociaż jego ambicje szły w kierunku malarstwa historycznego. Potem był Rzym; znowu 4 lata dzięki pomocy Lewickiego. Zwiedzał Italię. Po powrocie do kraju wyjechał do Dubna, gdzie portretował wołyńską arystokrację i malował obrazy w kościołach.

Po powrocie do Lwowa stał się pierwszym polskim malarzem w tym mieście, działającym na równi z innymi. Przejął profesurę w lwowskiej akademii (rysunek), a po jej zamknięciu nauczał prywatnie zarówno rysunku, jak i malarstwa. I tu okazał się mistrzem mistrzów, gdyż do jego uczniów należeli: Artur Grottger i Juliusz Kossak, a także Franciszek Tepa, Karol Młodnicki i syn — Marceli.

A synów miał trzech, udanych: Karola, Marcelego i Rafała. Ten pierwszy (1831—1886) miał zostać wybitnym matematykiem i rektorem lwowskiej politechniki. Zanim jednak do tego doszło, po ukończeniu lwowskiego gimnazjum, studiował na politechnice wiedeńskiej. Rozpoczął działalność pedagogiczną, przerwana jednak usunięciem go z wyższej szkoły realnej za działalność patriotyczną (1862). Zaangażowała go Wyższa Szkoła Rolnicza w Dublanach na docenta, a potem politechnika lwowska ofiarowała mu katedrę geometrii wykreślnej. Piastował ją do śmierci, stając się prekursorem lwowskiej szkoły geometrii wykreślnej. Uzupełniła ona sporą już liczbę lwowskich szkół naukowych: matematyczną (Banach, Ulam), geograficzną (Romer, Wąsowicz), filozoficzną (Kotarbiński, Tatariewicz), chirurgiczną (Rydygier i in.), muzyczną (Reiss, Lissa, Sołtys), językoznawczą (Kuryłowicz, Lehr-Splawiński), historyczno-gospodarczą (Ingłot, Styś). Ten pobieżny wykaz będzie zapewne wymagał dalszych uzupełnień...

Bardzo sprawny i płodny jako organizator Karol założył Polskie Towarzystwo Pedagogiczne (1867), Towarzystwo Politech-



Ludwik Rafał (Raphael) Maszkowski
21.07.1838—14.03.1901
(fot. z 1898 r. — Wrocław)

niczne we Lwowie, Towarzystwo Rzemieślnicze „Gwiazda” (bardzo zasłużone na polu szerzenia kultury wśród galicyjskiego ludu). Inicjował powstanie szkoły przemysłowej we Lwowie oraz lwowskiej szkoły przemysłu artystycznego. Sam zresztą rzeźbił i rysował. Był też dyrektorem Towarzystwa Sztuk Pięknych we Lwowie i organizatorem popularnych wykładów o sztuce. Koncertował jako wiolonczelista i należał do zespołów kameralnych, a „poza tym” założył Towarzystwo Śpiewacze „Lutnia”. Jego córka Aniela została śpiewaczką.

Każda z opisywanych tu postaci reprezentuje przynajmniej jeden z typowych „maszkowskich” talentów: malarstwo, muzykę, matematykę. W różnych układach genowych występują one w różnym stopniu, mogą się też łączyć i kombinować rozmaicie: np. jak u Karola — wszystkie trzy... Chciałoby się tu jeszcze dorzucić czwartą cechę — talenty organizacyjne!

Synem tegoż Karola był również Karol, ale — Zyndram (1868—1938). Urodzony we Lwowie, wstąpił do Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie studiował pod kierunkiem Łuszczkiewicza i Matejki. Przyjaźnił się z Mehofferem i Wyspiańskim. Potem był Wiedeń i Paryż. Po powrocie osiadł w Żabim, gdzie dzięki pięcioletniemu okresowi twórczości zyskał miano malarza ludu huculskiego. Wyprzedzał zatem swoimi zainteresowaniami i działalnością dokonania grupy: Jarocki, Pautsch i Sichulski. Zdobił też wnętrze „Jamy Michalikowej” (a była to początkowo „Cukiernia lwowska” Jana Apolinarego Michalika...). Zajmował się głównie polichromią i witrażem, i na tym polu miał wiele ciekawych osiągnięć. Interesował się też meblarstwem, stając się jednym z współtwórców polskiej szkoły dekoracyjnej, a jednocześnie typowym przedstawicielem Młodej Polski, realizującym ideę integracji wszystkich dziedzin plastyki. W tej dziedzinie rozpoczął wcześniej działalność pedagogiczną, stając na czele Państwowej Szkoły Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego w Poznaniu. Sam kierował katedrą architektury wnętrz. Będąc członkiem Sokoła używał pseudonimu „Zyndram”, który zachował i w Legionach (II Brygada). Z tego okresu pozostała interesująca teka rysunków i temper, głównie portrety towarzyszy broni.

Drugim synem Jana Kantego był Marceli (1837—1862). Urodzony we Lwowie uczył się tamże, u ojca. Utrzymywał bliskie kontakty z Pawlikowskim, Wolskim i Bielawskim. Potem były studia w Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu (malarstwo i rzeźba). Tam przyjaźnił się z kolei z Grottgerem, a następnie w Mona-

chium także z Janem Matejką i Karolem Młodnickim. Było też Drezno. Wkrótce po powrocie do Lwowa zmarł tam (gruźlica!) i spoczął na Cmentarzu Łyczakowskim. Jest to jedyny z Maszkowskich, o którym traktuje *Wielka encyklopedia powszechna PWN* (a my ciągle czekamy na suplementy...). Ciekawe, bo był daltonistą, a przy tym liczą się głównie jego rysunki: portrety, pejzaże i karykatury. 18 jego dzieł pozostało w Lwowskiej Galerii Obrazów.

No i wreszcie Rafał, trzeci z synów Jana Kantego — „wrocławski Rafał” (1838—1901). Skrzypek i dyrygent — i to wbrew woli ojca, który go wysłał, owszem do Wiednia, ale na studia techniczne (burzyły się te maszkowskie geny!). Utrzymywał się z lekcji muzyki, z pomocy braci i Grottgera, współlokatora na stacji (ponoć posłużył za modela do postaci artysty w cyklu *Wojna*). Studiował potem w Lipsku (skrzypce, teoria i kompozycja). Rozpoczął występy solistyczne w Lipsku i we Lwowie. Grywał też na altówce, ale po kontuzji lewej ręki poświęcił się dyrygenturze.

Colmar, Hamburg, Schaffhausen to pierwsze etapy jego pracy zawodowej. W Koblenji, gdzie został dyrektorem Instytutu Muzycznego, założył konserwatorium. Pracował tam 20 lat, nazwanych później „erą Maszkowskiego”. Ubiegał się o uzyskanie eksponowanego stanowiska dyrygenta Wrocławskiego Towarzystwa Orkiestrowego po Maksie Bruchu. I uzyskał je, popierany przez Brahmsa, który cieszył się wyjątkową estymą we Wrocławiu. Otrzymał tu doktorat honorowy na Uniwersytecie, za co zrewanżował się słynną później *Uwerturą akademicką*. Serdeczne przyjęcie przez wrocławską publiczność (jak niegdyś innego muzyka lwowskiego — Karola Lipińskiego) spowodowało rezygnację Maszkowskiego z podobnej propozycji w słynnym podówczas ośrodku muzycznym, jakim był Frankfurt nad Menem.

„Artysta pełnej krwi [...], później wytrawny teoretyk muzyki, przez całe wybredne Niemcy podziwiany dyrygent, koncertmistrz i znawca” — pisała o nim Maryla Wolska. A był dyrygentem o wybitnym talencie wirtuozerskim i improwizatorskim. Miał też fenomenalną pamięć. Z uwielbieniem dla wielkich tego świata muzyki (Beethoven, Liszt, Schumann, Schubert, R. Strauss) łączył zaskakującą predylekcję dla twórczości Brahmsa i... Wagnera! Przy pełnej świadomości awersji, jaka dzieliła obu twórców.

Odwiedzał często kraj ojczysty, gdzie uczył się jego syn. Otaczał opieką Polaków występujących we Wrocławiu. Interesował się też żywo życiem muzycznym w kraju. Wystąpił do przedstawicieli najsilniejszego tam lwowskiego środowiska muzycznego (H. Jarecki) o zorganizowanie w Wiedniu pokazu muzyki polskiej (*Halka*, koncerty chopinowskie — z artystami krajowymi wraz z braćmi Reszke, Kochańską i Paderewskim). Niestety, inicjatywa ta nie została podjęta.

A oto coś bardzo na czasie, choć sprzed 100 lat. Przejęte przezeń Wrocławskie Towarzystwo Orkiestrowe borykało się z poważnymi trudnościami. Nowy dyrektor zróżnicował profil i poziom koncertów, co znacznie zwiększyło napływ publiczności i... wpływów. Jego sukcesy artystyczne i starania organizacyjne spowodowały ustanowienie stałych dotacji dla muzyków. Kiedy zmarł (na raka), Towarzystwo utworzyło specjalny fundusz zapomogowy, na który wpływały pieniądze z oryginalnych „Maszkowski-Koncerten”, organizowanych aż do 1914 r.

W dwa lata po śmierci wystawiono na jego grobie piękny pomnik z napisami w jęz. niemieckim. Przetrwiał szczęśliwie do naszych czasów i taki chyba powinien pozostać. Jest to postać — *Toutes proportions gardées* — przypominająca Kopernika i Wita Stwosza, z tych, które swoją działalnością i znaczeniem nie powinny obu narodów dzielić, ale je łączyć. Rzecz niezmiernie aktualna wobec odradzania się różnych wrogich -izmów po obu stronach granicy, która nie tak dawno jeszcze nazywana była „granica pokoju”...

Syn poprzedniego, Jan Aleksander, ukończył wydział „prawa i umiejętności politycznych” uniwersytetu lwowskiego. Poświęcił się skutecznie administracji odradzającego się państwa (odznaczono

ny Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski). Pochowany został na Cmentarzu Łyczakowskim.

Jego syn z kolei, Rafał, urodzony we Lwowie (1912—1957), ukończył tamże Wyższą Szkołę Handlu Zagranicznego. Poświęcił się bankowości, przeżywając jej perturbacje w odradzającym się znowu państwie. Jeżeli w przypadku dwóch ostatnich Maszkowskich niezupełnie sprawdza się reguła dziedziczenia podstawowych uzdolnień (no, może organizacja...), to występuje wyraźnie inna, odnosząca się do nadawania tradycyjnie rodowych imion: Jan, Rafał, Karol — że nie wspomnę już o Zyndramie.

Kiedy w lwowskim hotelu dzieliłem pokój z p. Janem Maszkowskim, raczej dla podjęcia pierwszych rozmów zapytałem o tę rodzinę. Trafiłem w dziesiątkę. Był to Jan Zyndram, technik TV ze Szczecinka (ur. w 1937). Byłem zaskoczony jego podobieństwem do słynnego pradziada. I znowu w jego osobie odżyły jak gdyby, choć w innym wymiarze, podstawowe rodzinne talenty. W swej pracy łączył przecież zainteresowanie barwą obrazu TV, dźwiękiem i matematyką, na które się to wszystko opiera. Przegadaliśmy o tych sprawach długie godziny. Dowiedziałem się, że ma syna Rafała — Zyndram, który podobno zapowiada się nieźle jako młody astronom. A więc znów matematyka — *Vivat sequens!*

Konieczne tu trzeba dodać, że Maszkowscy należeli do ścisłej elity intelektualnej, która nadawała ton życiu umysłowemu i duchowemu nie tylko Lwowa, ale i całej Galicji. W salonie (literacko-artystycznym) Karola i Wandy (z d. Monné) Młodnickich (odprysk tego rodzaju znalazł także swoje miejsce we Wrocławiu) z Ujejskim, Bezą i Chmielowskim spotykali się Karol, Rafał i Marceli Maszkowscy. Kiedy ich córka Maryla (chrześcica Ujejskiego i Rodakowskiego — później czołowa poetka Młodej Polski) wyszła za Wacława Wolskiego, całe to towarzystwo przeniosło się na „Parnas lwowski” w przenośnym i dosłownym znaczeniu, gdyż willę „Zaświecie” wzniesiono u stóp Cytadeli. Do zacnego grona doszli jeszcze Pawlikowscy, E. Porębowicz, Staff, Ludwik i Irena Solscy oraz Wanda Siemaszkowa. Córkę Maryli Wolskiej — Beatę Obertyńską (też poetkę), z tej właśnie willi wywiozło NKWD w daleką i trudną podróż na wschód...

APEL

Kto w latach 1943—1944 był w leśnych oddziałach AK Lwów-Południe (w Zubrzy) i pamięta odbiór włoskiej broni tam dostarczanej?

Informację proszę kierować do Zarządu Głównego TML i KPW, Wrocław Rynek-Ratusz 7—9 dla Zdzisława Ojrzyńskiego.

Dla odtworzenia historii Chorągwi Lwowskiej z lat okupacji proszę o kontakt wszystkich członków konspiracyjnego harcerstwa polskiego.

Małgorzata Izabela Drzewicka
ul. Sobolewska nr 9
02—908 Warszawa

Od Redakcji

Podajemy temat początków polskiego lotnictwa i szybownictwa, którego kolebką był Lwów. Na początek przedstawiamy artykuł pana inż. Adama Skarbińskiego (zamieszkałego od czasu II wojny w Bielsku-Białej), który poświęcił się badaniu i utrwalaniu historii polskich skrzydeł. Z tematyką tą wiąże się też wspomnienie o śp. Wandzie Olszewskiej.

Zarówno pana inż. Skarbińskiego, jak i innych znawców tematu prosimy o dalsze artykuły poświęcone problematyce lotnictwa i szybownictwa we Lwowie do 1939 r.

ADAM SKARBIŃSKI

Pamięci lwowianina,
konstruktora inż. Romana Zatwarnickiego

Związek Awiacyjny Studentów Politechniki Lwowskiej

Związek Awiacyjny Słuchaczy Politechniki Lwowskiej (ZASPL) powstał na zebraniu konstytucyjnym 9 listopada 1909 r., a więc zaledwie w kilka lat po pierwszych na świecie lotach na aparatach cięższych od powietrza. Było to pierwsze polskie stowarzyszenie lotnicze utworzone staraniem lwowskiej młodzieży akademickiej i starszych inżynierów.

Związek prowadził działalność naukową i propagandową poprzez organizowanie wykładów, odczytów, wystaw, konkursów i wycieczek. Sprowadzono m.in. pilota francuskiego Pierre Granda, który zademonstrował po raz pierwszy we Lwowie kilka lotów. Postawiono formalny wniosek i poczyniono starania o utworzenie katedry lotnictwa i laboratorium aerodynamicznego na Politechnice Lwowskiej. Związek zgrupował wokół siebie zapalonych konstruktorów i warsztatowców, którzy opracowali kilka projektów i modeli. Byli wśród nich Jan Weber i Zygmunt Sochacki, którzy w 1910 r. zbudowali samolot, oraz bracia Władysław i Tadeusz Florianscy, autorzy nagrodzonego na konkursie ZASPL w 1914 r. szybowca i nowego samolotu.

W czasie pierwszej wojny światowej nastąpiła przerwa w działalności Związku, jego członkowie służyli w lotnictwie państw zaborczych, przechodząc później do wojsk polskich.

W 1923 r. Związek przyjął nazwę Związku Awiacyjnego Studentów Politechniki Lwowskiej. W tym roku powrócono do akcji propagandowej i idei utworzenia Studium Lotniczego na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lwowskiej.

Urządzone w 1923 r. na terenie Czarnej Góry pod Białką Tatrzańską i w 1925 r. na Oksywie k. Gdyni konkursy latania bez motoru, choć bez pożądaných wyników, zachęciły konstruktora Czesława Czerwińskiego¹, członka ZASPL, do zaprojektowania i wybudowania szybowca. Po uzgodnieniu z ówczesnym Zarządem Związku i przy finansowym poparciu Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej (LOPP) we Lwowie przystąpił on w 1924 r. do realizacji swojego projektu. Przy pomocy członków Związku szybowiec ten został ukończony w jesieni 1927 r. Na wiosnę 1928 r. przy współpracy Aeroklubu Akademickiego i LOPP, na wyszukanych przez W. Czerwińskiego wzgórzach Łysej Góry, w odległości około 12 km od Złoczowa, zorganizowano pierwsze loty szybowcowe. Szczepan Grzeszczyk² wykonał wtedy lot ślizgowy w czasie 4 min. i 13 sek. udowadniając, że w Polsce można latać na szybowcach. Dotąd bowiem sądzono, że do szybowania potrzebne są specjalne tereny, których nie znalazł zaproszony, znany pilot francuski Thoret. W listopadzie 1928 r. W. Czerwiński wyszukał odpowiednie tereny w Bezmiechowej k. Sanoka (Beskidy Wschodnie) i jej okolicy. Związek wspólnie z aeroklubem urządził tam rekonesansową wycieczkę zimową; następna wyprawa w 1929 r. była już wyposażona w nowe szybowce – szkolny i treningowy. S. Grzeszczyk osiągnął wtedy wynik ponad 2 godziny lotu.

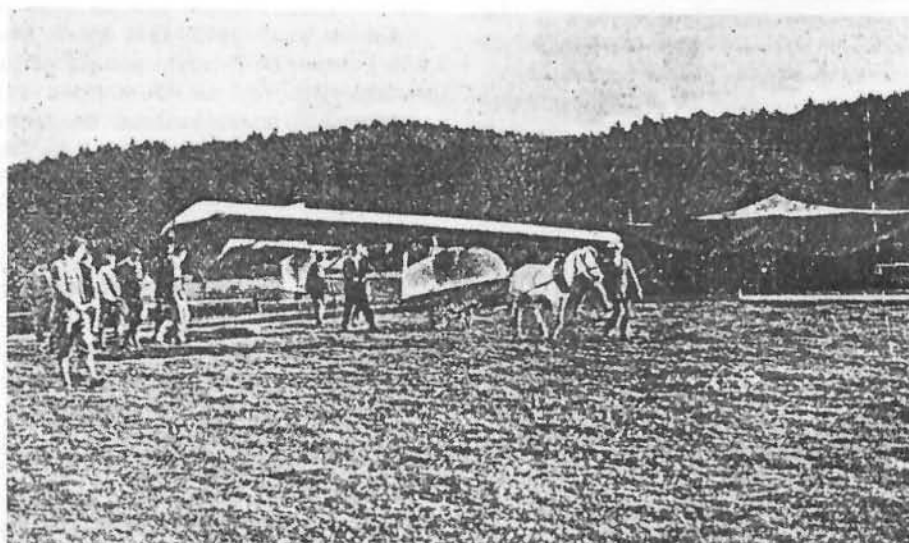
Na tych szybowcach wyszkolili się pierwsi, najlepsi piloci, jak Piotr Młynarski³, Bolesław Łopatniuk, Bolesław Baranowski⁴ i Zbigniew Żabski.

¹ Inżynier, pilot, zmarł w 1988 r. w Toronto (Kanada) w wieku 87 lat.

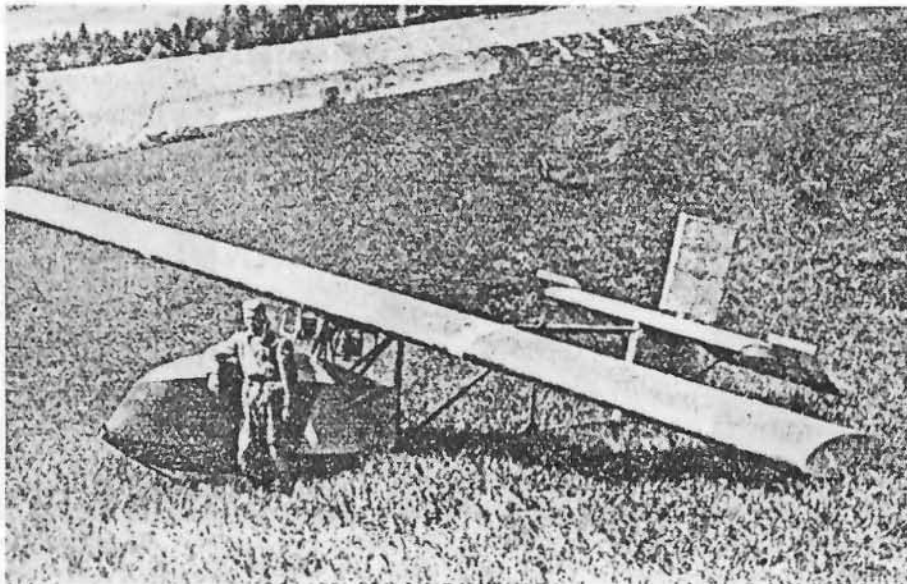
² Inżynier, ojciec polskiego szybownictwa, zmarł w 1967 r. w USA.

³ Inżynier, odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi w 1933 r.

⁴ Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi w 1933 r.



Drugi z kolei szybowiec inż. Czerwińskiego C.W.II w chwili prowadzenia do startu. Koń na tych terenach był wiernym i pewnym silnikiem, wciągającym szybowce na start



Szybowiec C.W.II, uzbrojony w przyrządy samopiszzące, przed startem do lotu

Od tej pory szybko powstawały nowe konstrukcje, a szybownictwo polskie znalazło się w pełnym rozkwicie, zajmując obok Niemiec czołowe miejsce w Europie. Rozkwit był możliwy dzięki całkowitemu oddaniu się sprawie ludzi zapisanych w historii lotnictwa bezsilnikowego. Dwóch oddało swe młode życie w wypadkach lotniczych: Zygmunt Laskowski (1932 r.), b. prezes Związku, i Adam Nowotny (1934 r.), b. wiceprezes Związku, uczestnik wszystkich wypraw szybowcowych, kierownik techniczny Instytutu Techniki Szybownictwa we Lwowie. Obok wymienionych poprzednio W. Czerwińskiego i S. Grzeszczyka pięknie zapisali się też Rudolf Matz, Franciszek Kotowski, T. Jakimowicz, kpt. inż. Michał Blaicher i inni.

Trzeba wspomnieć, że Związek Awiatyczny miał charakter koła naukowego, młodzież natomiast chciała również doznawać przyjemności samego latania. Stąd w lutym 1928 r. Związek zwołał pierwsze organizacyjne zebranie Aeroklubu Akademickiego we Lwowie, którego prezesem został jego twórca S. Grzeszczyk. Od kilku miesięcy istniały takie aerokluby w Warszawie i w Krakowie. Zorganizowano pierwszy kurs teoretyczny, w lecie zaś pięciu uczniów ukończyło kurs pilotażu na otrzymanych od wojska dwóch samolotach szkolnych Henriot.

Pomiędzy Związkiem Awiatycznym a Aeroklubem Akademickim istniała stała więź organizacyjna. Należy tu dodać, że w owym czasie żaden inny ośrodek lotniczy w Polsce nie zajmował się szybownictwem. Aeroklub lwowski przyjmował do szkolenia najzdolniejszych pilotów z całej Polski. Obie organizacje zasłużyły sobie na miano pionierów szybownictwa.

Po założeniu aeroklubu Związek Awiatyczny skoncentrował się na działalności zawartej w statucie. Jego długoletnim kuratorem, oddanym Związkowi, sprawującym nad nim opiekę, był prof. inż. Stanisław Łukasiewicz. Związek posiadał bibliotekę z działem katalogów, organizował wycieczki naukowe, odczyty, kursy języków obcych, zebrania dyskusyjne. Posiadał sekcję szybowcową, która ułatwiała bezpłatne lub ulgowe szkolenie w szkołach szybowcowych i treningi w aeroklubach, a także sekcję techniczną dla zainteresowanych pracami konstrukcyjnymi lub warsztatowymi o specjalnościach silnikowej i płatowcowej.

We własnym zakresie Związek zbudował popularny francuski samolotik „Pou du Ciel” („Pchła Powietrzna”), opracował konstrukcję samolotu szkolno-akrobacyjnego oraz silnik lotniczy małej mocy (ok. 8 KM), przeznaczony dla motoszybowca. Działalność ta była możliwa w głównej mierze dzięki subwencji LOPP i Ministerstwa Komunikacji. Wszystkie prace wykonywano we własnych warsztatach posiadających wykwalifikowaną kadrę pracowników i odpowiednie wyposażenie. Była to jedyna placówka, w której powstawały nowe konstrukcje lotnicze na terenie Lwowa i gdzie odbywali praktykę studenci politechniki. Tu lokował swe zamówienia instytut Techniki Szybownictwa.

Tak w historii lotnictwa polskiego zapisał się Związek Awiatyczny Studentów Politechniki Lwowskiej. Niewątpliwie utworzenie i dalsza działalność Związku były możliwe tylko w korzystnym dla lotnictwa klimacie Lwowa. Tu znaleźli się pierwsi entuzjaści, którzy próbowali swych sił w tworzeniu nowych aparatów latających, tu wyrosli lotnicy wojskowi tej miary, co kpt. Stefan Bastyr, mjr. inż. Stefan Stanisław Stec, ppłk. Władysław Toruń⁵, Ludwik Idzikowski⁶ i inni. Tu powstało jedno z pierwszych w Europie lotnisko komunikacji cywilnej i pierwsze lotnisko wojskowe, tu uruchomiono produkcję pierwszych w Polsce nowych samolotów wojskowych (kpt. Bastyr). Tu w 1929 r. powstało drugie w Polsce Laboratorium Aerodynamiczne Politechniki Lwowskiej (LAPL), w 1932 r. drugi na świecie Instytut Techniki Szybownictwa (ITS), przemianowany w 1936 r. na Instytut Techniki Szybownictwa i Motoszybownictwa (ITSM). Lwów był więc kolebką lotnictwa polskiego.

⁵ Obrońcy Lwowa, spoczęli na Cmentarzu Orląt.

⁶ Zginął w 1929 r. w wypadku lotniczym podczas drugiej próby przelotu przez Atlantyk z Europy do Ameryki.



STEFAN BASTYR
kpt. pilot



STEFAN STANISŁAW STEC
inż. major pilot



WŁADYSŁAW TORUŃ
inż. pplk. obserwator



ZYGMUNT ŁASKOWSKI
ppor. rez. pilot



WŁADYSŁAW CHODACZEK
pchor. rez. pilot



ADAM NOWOTNY
ppor. rez. pilot

CZESŁAW E. Blicharski

Mańku „zy Lwowa” nie doleciał

Lektura gazet angielskich nie przynosiła dobrych wieści, stąd na lotnisku 300 Dywizjonu Ziemi Mazowieckiej w Faldingworth nie wiało optymizmem. Sprawa polska szła od złego ku gorszemu. Wieczorem 12 lutego 1945 r. ogłoszono jednocześnie w Londynie, Waszyngtonie i Moskwie komunikat o wynikach konferencji jałtańskiej, podpisany przez Roosevelta, Churchilla i Stalina. Szczególnie zabolęły nas słowa Churchilla wypowiedziane w parlamencie brytyjskim, że „słuszną jest rzeczą, by Sowiety zabrały nasze Kresy Wschodnie”. Następnego dnia rząd polski ogłosił protest przeciwko piątemu rozbiorowi Polski, generał Anders prosił zaś o wycofanie II Korpusu we Włoszech i innych oddziałów na froncie zachodnim z linii frontowej. Ustąpił dopiero wtedy, gdy mu oznajmiono, że alianti nie mają kim ich zastąpić. W takim nastroju przyszło nam lecieć 13 lutego na bombardowanie Drezna, celem wsparcia ofensywy sowieckiej. Już po odprawie, na „dispersału” trzy nasze załogi odmówiły udziału w operacji w proteście za Jaltę. Dzięki taktowi dowódcy dywizjonu majorowi Bolesławowi Jarkowskiemu udało się „bunt” utrzymać w tajemnicy przed Anglikami. Tylko załoga F/S Jachacza, w której bombardierem był

„Wilniuk” Romek Peisker, nie uległa niezbyt przekonującym argumentom kolegów. Na ich miejsce dowódca dywizjonu wyznaczył zapasową załogę, z którą poleciał sam. Uległa załoga Mariana Mykietyna (ur. 21 VIII 1920 r. we Lwowie) pod warunkiem, że lecą ostatni raz, mimo że do zakończenia kolejki pozostało jeszcze kilka lotów. Krwawiły nam serca, ale rozum podpowiadał, że „buntem” przysparzamy argumentów niechętnym nam aliantom. Poleciałem więc, mając świadomość, że mego Tarnopola już nie zobaczę. Lot na Drezno trwał 9 godzin i 30 minut, nie wróciła załoga Mykietyna. Zginęli z nim nawigator Józef Płaczek, bombardier Mieczysław Ogorzał, mechanik pokładowy Aleksander Jameliniec, radiooperator Antoni Kaczmarz (drugi lwowiak) oraz strzelcy Bolesław Niziński z dalekiej Połtawy i Lucjan Goldowski. Większość z nich, podobnie jak i w całym dywizjonie noszącym miano Ziemi Mazowieckiej, stanowili chłopaki z Kresów Wschodnich, którzy zaliczyli więzienia i łagry sowieckie. Mańku z kolegami spoczął na cmentarzu lotniczym w Newark.

Zbieramy pamiątki lwowskie

Efekty ustaleń wielkich mocarstw po drugiej wojnie światowej w sprawie zmiany granic Polski spowodowały ogromne zmiany w układzie demograficznym Europy. Stało się tak, że w ciągu jednego roku zmieniła się struktura etniczna Śląska (zwłaszcza Dolnego). Niemcy i Ślązacy w większości zmuszeni byli wyjechać w głąb Niemiec, a Dolny Śląsk zasiedlili przymusowi przesiedleńcy z terenów wschodnich II Rzeczypospolitej. Wrocław z miasta niemieckiego stał się miastem typowo polskim, i to nie w wyniku powolnych zmian, ale niemal natychmiast. Jeśli wziąć jeszcze pod uwagę, że Wrocław zamieniony pod koniec wojny w twierdzę „Festung Breslau” został zburzony niemal w 80% i że nowi mieszkańcy zaczęli go odbudowywać, to na naszych oczach powstało z gruzów polskie miasto.

Nowi wrocławianie nie tylko odbudowywali zabytki, domy mieszkalne, szkoły i fabryki, ale równocześnie nowa elita kulturalna i naukowa (pochodząca przeważnie ze Lwowa lub Wilna) stała się nośnikiem powojennej polskiej kultury. Powstały – Uniwersytet Wrocławski i Politechnika oraz inne uczelnie, przeniesiono ze Lwowa przywiezione częściowo zbiory Biblioteki Ossolińskich, otwarto operę, teatry z całą plejadą znanych lwowskich i wileńskich artystów itp. W tym tyglu mieszącym wpływy śląskie, czeskie, niemieckie i napływowe polskie zrodziła się nowa współczesna kultura, daleka od nacjonalizmu, zdążająca do ogólnoeuropejskiej wspólnoty, bez wytyczonych granic czy schematów.

Tak jak badamy, dokumentujemy i zachowujemy zabytki kultury śląskiej lub niemieckiej czy analizujemy wpływy czeskie bądź węgierskie na Śląsku, tak samo nie możemy pominąć tych prawie 50 lat ukształtowanych przez kulturę polską repatriantów z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej. Oczywiście, nie tylko polska elita naukowa i kulturalna zasiedliła Śląsk. Przyjechali również ludzie, których poziom był niski z powodu słabego rozwoju rolnictwa i przemysłu na wschodzie – będącego wynikiem 150-letnich zaborów i tylko 20-letniego istnienia II Rzeczypospolitej. Wszyscy przesiedleńcy przywieźli jednak ze sobą wartości najcenniejsze: wiarę, tradycję, poczucie godności narodowej i patriotyzm. Przywieźli ze sobą także ... pamiątki po swoich przodkach. Czasem był to patriotyczny pierścień z okresu powstania 1863 r., czasem zdjęcie legionisty lub (po kryjomu pokazywane) odznaczenie *Virtuti Militari* za wojnę 1920 r. Przyznawali się zaufanym osobom, że ojciec zginął w Katyniu, siostra zmarła w łagrach Kazachstanu, brat był żołnierzem Armii Krajowej, przyjaciel rozstrzelany przez UB (leży na Cmentarzu Osobowickim), a oni sami byli więźniami politycznymi z kilkunastoletnim wyrokiem ... Takie to były często losy „nowych” wrocławian wpisywane w historię miasta. Myślę, że młode pokolenie tych rodziców-ekspatriantów powinno to sobie uświadamiać.

Dla zachowania i ocalenia w pamięci narodowej spuścizny kulturalnej przymusowych przesiedleńców ze Wschodu ważne jest, aby znalazło się miejsce do eksponowania pamiątek historycznych, artystycznych, materialnych itp. Takim miejscem, gdzie po zgromadzeniu nabytków i ich opracowaniu ekspozycja się je, jest muzeum, w tym wypadku Muzeum Historyczne we Wrocławiu, dysponujące odremontowanym Arsenalem składającym się z czterech budynków, dwóch baszt, dziedzińca wewnętrznego i zewnętrznego, posiadające ok. 5 tys. m² powierzchni ekspozycyjnej i magazynowej. Część Arsenału jest jeszcze w odbudowie, ale władze miasta dążą do jak najszybszego jej zakończenia. Przewidywane miejsce na dział kresowy i magazyn to południowe skrzydło Arsenału, tam też

znajdzie się stała ekspozycja (II piętro o powierzchni wystawowej ponad 1000 m²). Z myślą o dokumentowaniu tej najnowszej historii Wrocławia i Dolnego Śląska powołano dział, który kolekcjonuje i opracowuje pamiątki kresowe związane z dziedzictwem kulturowym, pochodzeniem, tradycją itp., a tym samym w sposób naukowy zajmuje się problematyką Kresów Wschodnich.

Zakres terytorialny obejmuje obszary II Rzeczypospolitej w strukturze dawnych województw państwa. Zakres chronologiczny to okres wcielenia ziem wschodnich w granicach I i II Rzeczypospolitej do czasu pozostawiania ich w granicach państwa polskiego, tj. do 1945 r. (do konferencji poczdamskiej). Zakres tematyczny obejmuje zabytki kultury polskiej i życia polskiego na Kresach, osadnictwa, szkolnictwa, nauki, pamiątki związane z kulturą ziemiańską, mieszczańską, grup etnicznych, mniejszości narodowych itp.

Rodzaje gromadzonych zabytków:

- różnego rodzaju archiwaria (szkolne, wojskowe, administracyjne, naukowe),
- odznaki, odznaczenia, medale wojskowe, sportowe, służb państwowych itd.,
- militaria (broń, oporządzenie, mundury itp. pamiątki pułków kresowych),
- pamiątki rodzinne, albumy, stare fotografie ukazujące rodzinę i jej otoczenie, architekturę, pejzaż itd.,
- inne zabytki ruchome, np. rzemiosła, przemysłu, ludowe, etnograficzne itd.,
- książki, przewodniki (oficyny wydawnicze lwowskie, wileńskie i inne), druki okolicznościowe, patriotyczne, propagandowe, plakaty, pocztówki itd.,
- przedmioty wartości artystycznej: obrazy, grafika, rzeźba, tkanina, szkło,
- wytwory warsztatów lokalnych i regionalnych, przedmioty kultury materialnej,
- pamiątki o charakterze religijnym, dewocjonalnym (obrazki, książeczki do modlitwy, medaliki, krzyżyki, różańce), patriotyczno-dewocyjne itp.,
- zabytki związane z kulturą mniejszości narodowych, np. żydowską, ukraińską, litewską itp.,
- martyrologiczne i biżuteria narodowa oraz inne przedmioty.

Muzeum Historyczne we Wrocławiu jest najwłaściwszą placówką predysponowaną do tego typu kolekcji. Obowiązkiem naszego pokolenia bowiem jest uratowanie tych pamiątek (które jeszcze można uratować), opracowanie ich i wyeksponowanie na stałej wystawie. Wystawę taką planujemy w Arsenale w najbliższych latach, ale co pokażemy, zależy od Was, ludzi z rodowodem „kresowym”. Swoje pamiątki możecie przekazać jako depozyt lub dar. Jeśli zaś przedmiot jest zabytkowy, muzeum zakupi go do swoich zbiorów.

Jeśli wszyscy zrozumieją potrzebę takiego dokumentowania i udzieli pomocy można będzie myśleć w przyszłości o powołaniu szerszej placówki, swego rodzaju ośrodka, który w sposób naukowy opracowywać będzie zagadnienia łączenia kultury zachodniej i wschodniej, niwelowania różnic narodowych czy wyznaniowych. Wachlarz badanych problemów jest dość szeroki, począwszy od nakładania się kultur słowiańskich (śląskich i czeskich), następnie niemieckiej i wreszcie polskiej czy żydowskiej wtopionej we wszystkie kultury, a więc także i w nasze kresowe szlaki.

Stworzenie muzeum kresowego jest zadaniem bardzo trudnym, ale nie niemożliwym. Pamiętamy o ludziach, którzy zostawili swoje domy, majątki, wręcz cały dobytek, przemieszczając się na obce im ziemie. Przystosowali się jednak do nowych warunków i stworzyli niepowtarzalny klimat, jaki np. ma Wrocław, a któremu początek nadali lwowianie, wilnianie, stanisławowiaci, stryjanie, drohobyczanie itd.

Dziś obok zbiorów Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Panoramy Racławickiej, obok zbiorów sztuki lwowskiej w muzeach Narodowym i Archidiecezjalnym czy zbiorów etnograficznych, powstać może stała ekspozycja dokumentująca polskie dziedzictwo kulturowe i historię Kresów Wschodnich.

Dlatego też zwracamy się z gorącym APELEM do wszystkich Polaków wywodzących się z dawnych ziem kresowych, aby pomogli w zorganizowaniu we Wrocławiu muzeum kresowego. Przyjmujemy wszystko, każdy najmniejszy dar ma dla nas cenną wartość! Sądzymy, że w wielu domach znajdują się jakieś przedmioty lub dokumenty, które w najbliższej przyszłości udostępnione będą na naszej wystawie.

ADRES MUZEUM

Oddział Arsenal Muzeum Historycznego we Wrocławiu,
ul. Cieszyńskiego 9, 50-136 Wrocław, tel. 44-15-71.

Prosimy pisać lub kontaktować się z p. kustosz
Ireną Zielińską.

PAN INŻ. ARCHITEKT ZDZISŁAW PRĘGOWSKI

DOKTOREM HONORIS CAUSA
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ

W dniu 16 listopada ubiegłego roku (1992), dokładnie w przededniu 80 urodzin (17 listopada 1912 r.), pan Zdzisław Pręgowski, dyplomowany inżynier architekt, przemysłowiec, wynalazca, społecznik, malarz, grafik, rzeźbiarz i sportowiec w jednej osobie – jak pisze się o tej, z Polski rodem, wybitnej postaci Szwajcarii – otrzymał we Wrocławiu najwyższą godność akademicką, tytuł DOKTORA HONORIS CAUSA POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ.

Aliści dzień ten nie był wybrany przypadkowo, choć oczywiście zbieżność dat była niespodziewanym dla audytorium, a tym samym wspaniałym zbiegiem okoliczności! Nadało to promocji dodatkowy splendor i symbol urodzinowego hołdu dostojnemu Jubilatowi.

Trzeba więc od razu wyjaśnić, że w dniu 15 listopada społeczność akademicka wyższych uczelni Wrocławia obchodzi rokrocznie Święto Nauki Wrocławskiej. W tym dniu bowiem, który jest rocznicą pierwszego akademickiego wykładu, wygłoszonego 15 listopada 1945 r. w murach rodzącej się co dopiero z ruin i zgliszcz powojennej polskiej politechniki w piastowskim grodzie nad Odrą, wrocławskie środowisko naukowe sięga pamięcią wstecz, zwracając się ku swoim korzeniom, ku wspólnym początkom.

A czyni to po to, by w podniosłej i pełnej refleksyjnego skupienia atmosferze przypominać heroiczne początki, korzenie lwowskie, pionierski okres odbudowy oraz ukazać drogę, którą przebyli uczeni i kształcona przez nich młodzież, zespalani wspólną ideą „Universitas”.

Dlatego też cały współczesny Wrocław naukowy z jego dwunastoma wyższymi uczelniami akademickimi, pomny lwowskich korzeni i wspólnych początków odradzania szkolnictwa wyższego po II wojnie światowej, na pamiątkę tego pierwszego, historycznego wykładu z 1945 r. zbiera się w auli politechniki, aby uczcić to tradycyjne już święto, które dla dzisiejszej Politechniki Wrocławskiej jest ponadto jej oficjalnym świętem statutowym – świętem Politechniki Wrocławskiej.

Stąd też Politechnika Wrocławska tylko w tym dniu – obchodząc swe święto, jak każda tradycja, nadzwyczaj okazała i uroczysta – nadaje tytuły doktora *honoris causa*. Nie inaczej więc było i w ubiegłym roku, tyle tylko, że w dniu 15 listopada wypadała niedziela, dlatego obchody święta przesunięto na poniedziałek – 16 listopada. To zaś z kolei spowodowało, że zbieżność dat – nadania panu inż. Pręgowskiemu doktoratu *honoris causa* z Jego pięknym jubileuszem 80 urodzin – była niemal zupełna, co zauważył promotor, a publiczność wypełniająca aulę skwitowała niebywałą owacją na cześć Doktoranta i Jubilata zarazem.

Trzeba tu dodać jeszcze, że ubiegłoroczny listopad obfitował dla pana Zdzisława Pręgowskiego w inne, wyjątkowej rangi zdarzenia. Tuż przed przyjazdem do Wrocławia w dniu 14 listopada odznaczony został w Bernie Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia IV klasy: Polonia Restituta 1918.

Pan Zdzisław Pręgowski urodził się – jak wiadomo – we Lwowie. Tam, na Kresach Wschodnich, w tym utraconym dla współczesnej Polski dumnym mieście nad Pełtwią zaczynał swą karierę artystyczną i tam też w macierzy polskich szkół technicznych – Politechnice Lwowskiej – rozpoczął studia architektoniczne.

I właśnie do tamtej tradycji, i całej najwartościowszej spuścizny po męznym Lwowie w najszerszym spektrum kulturowych odniesień nawiązuje nasz współczesny, kulturalny i naukowy Wrocław. Można by tedy rzec, że to miasto znad Odry oczekiwało nieomal instynktownie na tę zespalającą więź ze Lwowem w osobie pana Zdzisława Pręgowskiego.



MAGNIFICENCIA REKTOR PROF. DR ANDRZEJ WISZNIEWSKI
GRATULUJE INŻ. ARCH. ZDZISŁAWOWI PRĘGOWSKIEMU
TYTUŁU DOKTORA HONORIS CAUSA

To wielka radość, że ten wielki syn ziemi lwowskiej, przez otępy zawieruchy wojennej rzucony na obczyznę, pod koniec swego jakże przebogatego życia znalazł tu, we Wrocławiu uznanie i szacunek najwyższy za to, kim był dla Polski i dla Szwajcarii; za to, co zrobił dla nauki i kultury.

Dlatego niech mi wolno będzie Panu dr.h.c.inż. architektowi Zdzisławowi Pręgowskiemu złożyć jeszcze raz najgorętsze gratulacje i życzenia jak najdłuższych lat życia w zdrowiu, radości i spokoju.

Andrzej Ostoja-Solecki
Wrocław, 3 lutego 1993 r.

Do Lwowa i za Dniestr z pomocą charytatywną (fragment)

Pomysł zorganizowania pomocy Rodakom na Wschodzie zrodził się w autobusie, gdy wracaliśmy z Częstochowy z III Zjazdu Kresowiaków. Mecenasek Skalski mówił ekspresyjnie o bardzo trudnej sytuacji naszych Rodaków, o ludziach starych i schorowanych...

A może i my moglibyśmy im pomóc... Jest nas mało, zrzeszonych w Świdnicy w Klubie Kresowiaków. Bez pomocy z zewnątrz nie podolamy... Potrzebne będą bardzo sprawne samochody, żywność, pieniądze na paliwo i różne opłaty...

Na zebraniu zespołu klubowego rzucam pytanie o sens podjęcia próby. Pierwszy reaguje Józek Grajner, deklarując własny samochód dostawczy i czas, zresztą ściśle ograniczony. Na paliwo musi dostać pieniądze, zrozumiałe. „Studio Odra” PR we Wrocławiu użycza mi anteny, apeluję do słuchaczy o pomoc. Zgłasza się parę osób. Wybieramy Kazimierza P. z Walimii, który pojedzie „za zwrot paliwa”. P. Małgorzata Braniecka, dyr. Świdnickiego Ośrodka Kultury, użycza pomieszczeń w klubie „Bolko” na zbiórke darów. Ogłaszamy akcję. 5 i 6 grudnia członkowie naszego klubu podejmują dyżury. Przychodzą i przyjeżdżają ludzie ze Świdnicy i okolic. Różni, ale na ogół sami niebogaci, to widać. Pan Serdyniecki z Makowic, na oko 70 lat, w deszcz ze śniegiem przyjechał na rowerze wioząc miód i mąkę. Siada z godnością, kładzie na stole 100 000 zł. Ciepło się robi na sercu... Młody człowiek ze Złotego Lasu przywozi trzy duże toboły z używaną odzieżą — „Moi rodzice stamtąd...” Tak będzie przez dwa dni. Nie widać tych, którzy mieszkają w ładnych willach za metalowymi sztachetami. Po dwóch dniach mamy ok. 2000 000 zł i kilka kartonów żywności. Brak reakcji ze strony instytucji, zakładów pracy... Mało, na tyle przygotowań i nadziei. Do akcji włącza się proboszcz parafii św. Stanisława i Wacława ks. kan. Ludwik Sosnowski. Przekazuje 30 kartonów odzieży i żywności, adresowanych do kościoła w Buczaczu. Daje 6 worków odzieży do naszej dyspozycji dla Lwowian. Z własnej pensji wyklada 1 500 000 zł na paliwo. Nabieramy optymizmu, akcja zaczyna mieć sens. Halinka Ligęzowa uporczywie kwestuje wśród służby zdrowia. Zbiera 1 300 000 zł. Rano 8 grudnia tuż przed odjazdem zaglądamy do parafii św. Józefa. Ks. Stanisław Pasyk burczy pod nosem — „Czemu w ostatniej chwili?” Szerokim ruchem ramion zgarnia z przedpokoju wszystkie swoje kurtki i płaszcze, rzuca nam je do samochodu. „Czekajcie...” Sięga pod sutannę, wyciąga pieniądze — „Macie tu balona na paliwo”. Jeszcze trzy kartony opłatków świątecznych... Szczera, góralska natura. Jest godz. 9²⁰ — pl. Kościelny przed „katedrą”, jak zwyczajowo mówimy w Świdnicy. Uroczyste pożegnanie przez ks. Ludwika Sosnowskiego i naszych przyjaciół, odjazd do Wrocławia na odprawę celną i spotkanie z wrocławską częścią transportu. We Wrocławiu czekamy chwilę, są... Pan Emil Teśluk prowadzi dwie wojskowe ciężarówki. Dwóch oficerów i żołnierzy w mundurach... Uzgadniamy z p. Emilem, że pojedziemy przodem sami. Nasz Mercedes jest szybszy i musimy być w niedzielę z powrotem.

Wyjazd z Wrocławia o 13⁰⁰ — kierunek: Wschód. 13 godzin ostrej jazdy. 2⁰⁰ nad ranem — środa — granica w Hrebennem. Pusto... stoi kilka autokarów sąsiadów ze Wschodu, wiatr rusza drzwiami w komorach celnych... Wokół żywej duszy... Przypuszczam, jedna dusza w wojskowym ubranku chrapie potężnie w swoim boksie. Gdyby była taka sama sytuacja po drugiej stronie — można by przejechać nawet czołgiem. Ale pewnie nie jest. Zmarznięci kulimy się na siedzeniach i czekamy do 8⁰⁰ na przyjazd urzędników granicznych. Odprawa idzie marnie. Przejście jest nowe, ludzie niedoświadczeni. Niepotrzebnie tracimy dalsze trzy godziny. Ukraińcy grzebią nam w bagażach osobistych, patrzą pożądliwie na nasze jedzenie, papierosy. Józek daje dużą pla-

stykową butelkę napoju. Chwila krygowania się, biorą... Szlaban, Ukraina. Zmiana krajobrazu, drogi, tego, co po nich jeździ i chodzi. Furmanki konne, których u nas już prawie nie ma. Pierwsze miasto na trasie — Żółkiew — rodowa miejscowość naszego sławnego hetmana. Krótki rzut oka na smutne miasteczko, zostawiamy pierwsze paczki i o 15⁰⁰ jesteśmy już we Lwowie.

Wjeżdżamy do Rynku, budząc umiarkowane zainteresowanie. Rynek nawet zadbane. Zostawiamy kartkę z informacją w drzwiach Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Krótka wizyta u ks. bp. Rafała Kiernickiego w katedrze. Anonsujemy wrocławski transport i pędzimy do Konsulatu RP. Jest już po godzinach pracy, ale czekają na nas. Przyjmuje nas serdecznie konsul p. Marek Krajewski. Załatwia noclegi, przygotowuje różne glejty, udziela wskazówek. Tam, na dole Ukrainy będziemy zdani tylko na siebie. Robi się późno. Towarzyszący nam całą drogę Wartburg odjeżdża do Drohobycza. Przeżywamy w duchu lekkie obawy. Nikt nic nie mówi. Przecież wiemy, co robimy..., nikt nas nie zmuszał. Przez zatłoczone miasto rozdeptanymi ulicami dojeżdżamy do hotelu „Sputnik”. Za nocleg żądają 30 USD, za parkowanie samochodu... 10 USD. Dziękujemy grzecznie i odjeżdżamy. Na całą wyprawę mamy tylko 60 dolarów, musimy oszczędzać. Józek prowadzi auto do hotelu „Turist” na 29 listopada. Tu również znają tylko magiczną liczbę 30. Józek prowadzi twarde negocjacje. Wreszcie lądujemy w dość marnym pokoju za 15 USD. Niestety, recepcjonistki zapomniały dać „przekaz” do jadalni. Wracamy z dołu głodni i zdziwieni (opłata za hotel obejmuje również wyżywienie). Zjawia się w pokoju kelner — widocznie świetnie znający reguły gry i proponuje nam kolację w „numerze” za... 30 dolarów. Wybuchamy śmiechem. Patrzy na nas zaskoczony. Przynosi coś do jedzenia za dużo niższą sumę. Osobnym tematem jest łazienka. Wspólna z sąsiednim pokojem, wykafelkowana komórka z wychodzącą ze ściany węzownicą, która służy do wszystkiego: mycia, golenia. Brak jakichkolwiek kurków, lustra. Pełna egzotyka! Józek dogaduje się z hotelową policją w sprawie pilnowania naszego pojazdu z ładunkiem. Popilnują — mówią — za trzydzieści dolarów, bo jest ich trzech. Przestaje to być zabawne. W końcu godzą się pilnować za 2 „od lebka”. Babcia też chce dolary, ale godzi się na olej i cukier. Czwartek godz. 6⁰⁰. Śniadanie z własnych zapasów. Potem znów w drogę.

Pierwszy etap za Lwowem — Bóbrka. Po drodze pozdrawiamy jednego z dwóch lwów z Cmentarza Orłąt Lwowskich, który obecnie stoi samotnie na rogatkach miasta w kierunku Tarnopola. W Bóbrce szukamy p. Mazurskiego, prywatnie kościelnego polskiej świątyni. Starsza, wysoka kobieta mówi: „Jest w pracy. Synowa stoi za chlebem...” Babcia patrzy na nas dziwnym wzrokiem, zaczyna coś rozumieć... Wyładowujemy paczki, niesiemy do domu. „Pan, pan jest ksiądz, ksiądz z Polski...” Staruszka płacze, język jej się płacze. Dławi nas w gardle. Zapewniam, iż jestem osobą świecką, cywilną. Nie przyjmuje do wiadomości. Zostawiamy kopertę z przekazem od Czesi Fulbiszewskiej i p. Kubasa — byłych parafian Bóbrki i wiejemy. Zrobiło się łzawo...

Stokilkadziesiąt kilometrów przez Bursztyn i Halicz, i Stanisławów, rodzinne miasto Karoliny — żony Józka. W jednym z kościołów cerkiew, ale uprzejmie informują nas, jak trafić do polskiego. Jest. Z zewnątrz jeszcze wymaga sporo pracy, ale w środku już odnowiony. Skromnie, jasno i czysto, schludnie. Obsada: młody proboszcz, chwilowo nieobecny, siostra zakonna w średnim wieku i taka sama gospoia świecka. Pytam wprost: Nie głodujecie? Z wahaniem odpowiada „Nie, ale brakuje nam cukru”. Akceptowany przez władze jest tylko ksiądz, więc całej trójce musi

wystarczyć jeden kilogram miesięcznie. Często nas herbatą, dziwią się, dlaczego my lwowiacy pomagamy im w Stanisławowie (ech, te polskie podziały...). Wyciągamy do herbaty nasze zapasy, chcemy ich poczęstować. Dziękują. „Weźcie do Buczacza, tam jest gorzej”. Zostawiamy trzy kg cukru i nieco odzieży, opłatki od ks. Pasyka i serdecznie żegnani odjeżdżamy. W drodze odkrywamy brak chlebaka z pieniędzmi i dokumentami. Wracamy 15 km do Stanisławowa. Jest, zapomniałem w kościele. Siostra mówi — „Biegłam za wami, ale nie miałam szans”. Pewnie, Mercedes. Gapio-stwo wychodzi na korzyść, wrócił ks. proboszcz — młody chłopak w sportowym ubranku. Jest z nim gość z Krzeszowa ks. Slugocki. Znają Świdnicę, pytają o ks. Barana. Uśmiechy, radość. Od-bieramy dużo życzeń i pozdrowień dla wszystkich dobrych ludzi, pamiątkowy stempel do delegacji i w dalszą drogę.

Tyśmienica i już dobrze po zmroku — Buczacz. Piękna urbanistyka, stylem przypominająca Kłodzko. Polska galicyjska architektura. Zaniedbanie, na ulicach dużo błota. Podjeżdżamy pod jasno oświetlony kościół na wzgórzu. Niestety, nie nasz. Nasz, w dole, w błocie, smutny i odrapany. Wokół rozkopana ziemia. Wewnątrz kościoła dwóch mężczyzn wykonuje prace remontowe. Nie mówią po polsku, ale są Polakami. Młodszy bierze szuflę proboszcza, który poszedł do chorego. Oglądamy kościół. Piękna barokowa, zwarta bryła. Widać ślady wspaniałego wystroju wnętrza. Zniszczenia sięgają 3 m od posadzki w górę. Podłoga też zdemolowana. Materiały budowlane zgromadzone w środku. „Nie mogą leżeć na dworze” — uśmiecha się starszy robotnik. Ołtarz, lampka oliwna. Kościół już działa. Dach naprawiony. Nie będzie dalszych zacieków.

Zjawia się proboszcz — ks. prałat Ludwik Rutyna. Wita nas jak synów. Drobna, żwawa postać mimo 80 lat. Pogodna, mądra twarz. Znosimy do kościoła z dwoma robotnikami przywiezione dary. Ks. Rutyna też nosi. Radość bije z jego oczu — będzie czym poratować ubogich i czym płacić za pracę. Wzdycha cichutko — gdyby więcej takich „samochodzików”, zdążyłby może z remontem kościoła, nim odejdzie na zawsze...

Dwóch robotników daje dyskretnie do zrozumienia, że in-teresuje ich zawartość paczek. Dajemy im po kurtce od ks. Pasyka. Hamują radość, przymierzają. Ks. Rutyna prowadzi nas na kwate-rę. Wita nas miła staruszka — gospoś. Mówi pięknym polskim językiem bez naleciałości. Kwatera ks. Ludwika Rutyny to mały pokój 3x3 m, wynajęty w nędznym domu, zwanym szumnem „domem kultury”. W pokoiku łóżko, stół do pracy i posiłków zarazem, kuchenka butanowa, jakaś szafka na jedzenie. Obok trzy wiaderka z wodą, miednica. Zupełny brak sanitariatów. Wokół snują się jakieś typy o zaciętych twarzach... To dyrektor Domu Kultury szepce cichutko p. Stasia. Po kolacji, na którą składają się nasze zapasy i bardzo smaczna kapusta przygotowana przez p. Stasię (przeprasza, że „taka postna, a panowie tak z daleka”) — ech... znowu drapie w gardło... Ks. Rutyna oprowadza nas po kościele. Mówi o planach i nadziejach. Opowiada historię kościoła. Pokazuje stareńką, kamienną chrzcielnicę, w której był ochrzczony 80 lat temu..., a później jego siostrzeniec, też Ludwik, obecny proboszcz „katedry” świdnickiej. Dotykamy historii i życiorysów dwóch Prawdziwych Kapłanów. Dochodzi 20⁰⁰ (czwartek). Trzeba jeszcze dzisiaj wrócić do Lwowa. Bardzo serdecznie nas żegnają. Ks. Rutyna prosi o uściskanie siostrzeńca, ale — dodaje z uśmiechem patrząc na moją tęgą sylwetkę w ciepłej kurtce — „proszę to zrobić ostrożnie”. Jak zwykle Józek kwituje to serdecznym śmiechem. Kurs na Tarnopol — wokół ciemności, absolutny brak drogowskazów. Kierowcy dość dowolnie interpretują przepisy drogowe. Rzadko który samochód ma właściwe światła. Wiele wozów nie ma ich w ogóle.

Godz. 22⁰⁰ — Tarnopol. Paczka do nowej dzielnicy. Zupełny brak informacji na ulicach. Wreszcie trafiamy. Oddajemy paczkę. Niestety nie możemy wypić herbaty, we Lwowie niepokoi się o nas Ryszard Żmurkiewicz, który został w celu nawiązania kontaktów. Pod Złoczowem, zgodnie z zaleceniami konsula, ignorujemy lizak milicjanta. Nigdy nie wiadomo, kto kim jest. O 2⁰⁰ nad ranem, już piątek, jesteśmy we Lwowie. Rysiek zdenerwowany — nie śpi,

czeka. Gotuje herbatę, wyciąga chleb i masło. Szybko coś jemy i do łóżek. Śpiemy krótko. Rano skromne śniadanie, telefon do Kon-sulatu, że wróciliśmy. Do prezesa Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej i do biskupa Kiernickiego, że wkrótce będziemy w Rynku. Będą czekać. Wyladowujemy resztę darów. Troszeczkę jedzenia dla TKP i 6 worków odzieży dla katedry. Wrocławianie już rozładowali swoje ciężarówki (8 ton) i „gdzieś są”. Pan Sudomlak pokazuje z radosną troską przywiezione dary i mówi — „Kiedy ja to rozprowadzę?” Józek się śmieje — „Ma pan czas do Wielkanocy, bo wiosną znów przyjedziemy”.

„Pstrykamy” kilka zdjęć z bp. Kiernickim, zwanym pieszczotliwie przez starych lwowiaków Rafalkiem, i z prof. Sudomlakiem. Czas wracać. Nie możemy sobie pozwolić nawet na zajrzenie gdziekolwiek. Patrzą na nogi bp. Rafała ubrane w sandały... Po różnych „sanatoriach NKWD” nie jest w stanie założyć normalnego obuwia...

Znów wiele serdecznych podziękowań, życzeń dla rodaków w kraju, wdzięczność za pamięć, która jest ważniejsza od chleba. Granica. Dzięki odrobinie sprytu i szczęścia przekraczamy ją w tempie niewiarygodnym — 50 minut! Trudno uwierzyć, w piątek wieczorem jesteśmy już w Polsce. Na nogę stajemy u rodziny mojej żony blisko Jarosławia. W sobotę rano wyjazd do domu „na zachód”. Pogoda się pogarsza, pada deszcz — potem śnieg.

Przed 24⁰⁰ z soboty na niedzielę 13 grudnia lądujemy w domu. Zmęczeni potężnie, ale zadanie wykonane. Za nami 2350 km po bardzo różnych drogach. Przejechaliśmy trzy dawne polskie województwa. Dostarczyliśmy ponad tonę jedzenia i odzieży, a także wiele... zupełnie już niewymiernych wzruszeń i nadziei...

Kończąc swą przydługą relację pragnę podziękować łańcuchowi ludzi dobrej woli, dzięki którym akcja była możliwa i zakończyła się względnie powodzeniem.

Dziękuję

Koleżankom i Kolegom z Klubu Kresowiaków Towarzystwa Miłośników Lwowa za zaakceptowanie pomysłu, składkę finansową, udział w dyżurach i zbiórkach.

Kolegom Józefowi Grajnerowi i Kazimierzowi Pantolowi za użyczenie samochodów i oddanie do dyspozycji własnego czasu.

P. Małgosi Branieckiej — dyr. SOK za udostępnienie pomieszczeń klubu „Bólko” na akcję zbiórki darów.

Polskiemu Radiu „Studio Odra” — za użyczenie anteny.

„Wiadomościom Świdnickim” — za zainteresowanie opinii publicznej.

Głównemu Sponsorowi ks. Ludwikowi Sosnowskiemu — za ogromną część darów, wyłożenie z własnej pensji 1500 000 zł na paliwo, i wsparcie moralne.

Ks. S. Pasykowi za dary i 1000 000 zł na paliwo.

P. Markowi Krajewskiemu konsulowi RP we Lwowie — za opiekę i troskę Tam.

P. Bolesławowi Sudomlakowi i bp. Rafałowi Kiernickiemu za to, ŻE SĄ, ŻE TRWAJĄ TAM na Redutach Polskości.

Wszystkim Ofiarodawcom za serce, wrażliwość społeczną, za to, że umożliwili nasze działanie.

Naszym Rodzinom za cierpliwość, wyrozumiałość i niepokój o nas!

JERZY MASIOR

Po drodze

Oporem do Dniestru
Stryjem do Dniestru
z gór w dolinę
niepoliczonych godzin
w prawo do Chodorowa
Dobrowolny niedaleko
młyn nad rzeką
sady nad rzeką
może szczupak się uchował
i skrzek ciepły i zaskrońce
i początek i początek
który nigdy nie był końcem.

Wystawa „Album kresowy”

W dniach od 31 marca do 30 kwietnia br. czynna była w auli Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich wystawa zatytułowana „Album kresowy”. Inspiracją scenariusza tej ekspozycji były fotogramy doc. dr Wojciecha Kowalskiego, Pełnomocnika Rządu d.s. Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego za Granicą, przedstawiające polskie zabytki na dawnych Kresach Wschodnich. Około 110 zdjęć z różnych miejscowości, z obszarów od Lwowa do Wilna — Żwaniec, Chocim, Nieśwież, Mir, Kamieniec Podolski, to tylko niektóre z nich, prezentowane na tej wystawie.

Kolorowe zdjęcia W. Kowalskiego, stanowiące materiał dokumentacyjny, przedstawiają stan zabytków oraz prowadzone w kilku miastach prace renowacyjne. Znaczna część fotosów przedstawia polskie zabytki sakralne, obecnie mocno już nadwyrężone, z dużym poświęceniem rekonstruowane.

Ważną część wystawy „Album kresowy” stanowiły czarno-białe fotografie rezydencji kresowych, m.in. Podhorce, należące niegdyś do Sobieskich, Olesko, siedziba m.in. Wiśniowieckich, Malczyce Poniatowskich, Tulczyn Potockich, Pikiliszki Piłsudskiego i inne (ponad 50 zdjęć). Wiele z tych rezydencji dziś już nie istnieje, zostały zniszczone podczas rewolucji i wojen. Zdjęcia te wypożyczył kustosz Roman Aftanazy, autor pomnikowego dzieła *Materiały do dziejów rezydencji na Kresach Wschodnich*.

Materiał fotograficzny autorzy scenariusza ossolińskiej wystawy, Krzysztof Gluziński i Małgorzata Orzeł, uzupełnili eksponatami książkowymi ze zbiorów Biblioteki Ossolineum. Były to m.in. przewodniki po kresowych miejscowościach, pierwodruki dzieł związanych z kresami (np. pierwodruk *Zamku kaniowskiego* Seweryna Goszczyńskiego), prace historyczne dotyczące tych ziem. W osobnej gablocie eksponowano rękopisy, w tym *Wojny chocimskiej* Potockiego (zbiory Biblioteki ZNiO). Istotnym elementem były także wypożyczone z Muzeum Narodowego we Wrocławiu obrazy — portrety (Goszczyńskiego, Lubomirskiego), krajobrazy kresowe (np. ze Stryja, widok Lwowa), typy huculskie (z teki F. Tepy). Pod płótnem przedstawiającym *Zagłębę z Ukrainy* umieszczono dwa niezwykle piękności pasy słuckie (własność Muzeum Narodowego we Wrocławiu).

Autorzy scenariusza tej ekspozycji pragnęli przywołać nieobecny już dziś klimat tamtych ziem, rozbudzić wspomnienia i refleksje, jak przy przeglądaniu starego albumu.

Wspomnienia te ciągle jeszcze są żywe, wskazywała na to duża liczba zwiedzających i ich niezwykle wzruszające wpisy do ossolińskiej księgi pamiątkowej.

W trakcie trwania wystawy w Bibliotece Ossolineum odbył się interesujący odczyt prezesa Klubu Stanisławów p. Leszka Wierzejskiego, pt. „Kresy Południowo-Wschodnie — historia i dzień dzisiejszy”.

Z PRASY

„SŁOWO KATOLICKIE” NR 12 z 8.02.1993

„Może uda si, że powrócy zdrów” — gdy ... przeczytam *Dzień bez granic*

„Życie Warszawy” z 6 stycznia br. przyniosło m.in. *Inne spojrzenie* p. Aliny Grabowskiej. Tytuł *Dzień bez granic* okazał się o tyle trafny, że tego dnia „Życie” zdecydowanie przekroczyło granicę ... przyzwoitości. Stało się tym zastąpienie rzetelnej informacji własnym komentarzem, będącym w istocie zjadliwą i przewrotną napaścią p. Grabowskiej na Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich za jego „List otwarty”, skierowany do prezydenta Lecha Wałęsy.

Jak wiadomo, „Życie” nie umożliwiło swym czytelnikom zapoznanie się z treścią tego listu. Wbrew dobremu obyczajom nie wskazano także, gdzie ew. zainteresowani *Dniem bez granic* — mogliby ten dokument odnaleźć („Słowo Powszechne” nr 221 z 17 XII 1992). Wreszcie nie przedstawiono jego istotniejszych treści, np. z jakich przyczyn środowiska kresowe krytycznie odnoszą się do polityki wschodniej obecnych władz RP, czego w rzeczywistości kresowiaci oczekują i co postulują, zwłaszcza gdy chodzi o ich oczywiste prawa obywatelskie i o prawa pozostałej na Wschodzie ludności polskiej.

Zamiast tego wszystkiego sięgnięto do dawnych metod, doskonale nam wszystkim znanych, a już szczególnie znanych p. Grabowskiej. Z wystąpienia Towarzystwa dowolnie wyjęto kilka oderwanych zdań, przemieszczano z własnymi już stwierdzeniami Autorki i złośliwym komentarzem, by w ten sposób stworzyć obraz stanowiska TML równie fałszywy, jak i łatwy do dziennikarskiego z nim rozprawienia się. Zgadza się tylko w tym z Autorką *Dnia bez granic*: „istotnie, to prawda, że Lwów był najbardziej polskim miastem”. I także, że „te tradycje należy pielęgnować, o ich realizację się dobijać, interesów polskich i polskiej mniejszości za wszelką cenę bronić”.

Tego przecież bronimy i bronić będziemy — mimo że już praktyczne wprowadzenie w czyn tych słów, choćby tylko w postaci „Listu otwartego” do prezydenta, najwyraźniej p. Grabowskiej nie odpowiada. Gdy właśnie za tę obronę, z taką przewrotnością i z takim jadem próbuje poruszyć opinię publiczną przeciw lwowiakom. Trzeba bardzo wiele złej woli, by straszyć czytelników i jako konsekwencję naszej krytycznej oceny polityki wschodniej stawiać pytanie: „Czy Towarzystwo Miłośników Lwowa pogna nas do wojny ze wschodnimi sąsiadami?”

My jednak poszukujemy odpowiedzi na inne, mniej absurdalne pytania: Czy i w jakim stopniu obecnie polityka na Wschodzie jest kontynuacją 40-lecia PRL? Skąd u byłego pracownika RWE, a wcześniej „frontu ideologicznego”, taka ogromna pasja w jej obronie? I wreszcie pytanie ostatnie, tym razem do Redakcji „Życia”: Czy niektóre osoby już za wsze, niezależnie od koniunktury politycznej i z tak różnych ambon, bo teraz już z „europejskiej”, będą nas moralizować, „prostować” i pouczać o „jedynej słuszności” tego, co aktualnie pożądanego przez niektóre czynniki? Czy już nie pora, by porzuciły politykę, zajmując się np. turystyką?

Wówczas p. Alina Grabowska udałaby się może na wschodnią granicę. Tam przecież — także „we wspólnym domu europejskim”, w dodatku między rzędami drutów kolczastych, na starannie zabronowanej polskiej ziemi — będzie mogła obserwować wystrzeliwane ku niej z wieżyczek świetlne race. Chyba, że od razu ... Dlatego, może na początek, zapraszamy na kilka dni do „europejskiej kolejki samochodów” np. w Medyce!

Stanisław Mitraszewski
Przewodniczący Rady Naczelnej
Federacji Organizacji Kresowych

P.S. Wątpliwości i troski p. Grabowskiej co do ew. zmian w nazewnictwie niektórych miast polskich (...co z Wrocławiem, czyli Breslau?) przypisać chyba należy zbyt długiemu jej pobytowi w Monachium i osłabionej tym faktem odporności. Przypominamy więc, że to jednak Niemcy przegrały wojnę. Wywołaną przez siebie.

S.M.

Tarnopol zatrzymany w kadrze pamięci

Wśród ukazujących się pozycji kresowych bardzo interesujący i godny uwagi jest album autorstwa Czesława E. Blicharskiego poświęcony rodzinemu miastu — Tarnopolowi. Wydany został bardzo starannie na kredowym papierze w kwietniu 1992 r., tj. w stuletnią rocznicę założenia Kółka Naukowego Tarnopolskiego, na podstawie zbiorów ikonograficznych panów Macieja Gallosa z Bytomia i C. E. Blicharskiego z Zabrza oraz dzięki współpracy tarnopolan z kraju i zagranicy.

We wstępie autorstwa Stanisława Sobotkiewicza (mieszka w Anglii) jest króciutka informacja, jak temu miastu w 1988 r., jeszcze wówczas sowieckie „Uprawnienie Geodezji” sfabrykowało metrykę — „początki miasta Ternopila, nazwanego tak od tarninowego pola, giną w mrokach przeszłości”.

Znamy te bzdury dotyczące genezy magnackich miast kresowych produkowane przez radzieckich uczonych. Otóż miasto zawdzięcza swoje narodziny Janowi Tarnowskiemu, hetmanowi wielkiemu koronnemu, wojewodzie ruskiemu i krakowskiemu, zwycięzcy spod Obertyna, który w 1540 r. uzyskał od króla Zygmunta Starego przywilej lokacyjny na założenie Tarnopola.

Najważniejsze daty w historii Tarnopola obejmujące okres 1540—1946 zamieścił autor po wstępie. Potem czytelnik rozpoczyna wędrowanie po mieście. Obok prezentowanych widoków (w sumie 66 rycin) jest nota zawierająca informacje dotyczące danego zabytku lub ulicy z często cytowanymi wiadomościami z ówczesnej prasy. Ryc. 1 przedstawia dużą reprezentacyjny dworzec kolejowy — dumę Tarnopolan — opatrzona została informacją z „Głosu Polskiego” z dnia 8 IV 1905 r. o nowo wybudowanym skrzydle dworca, w którym umieszczono restaurację, poczekalnię i kasy.

Od dworca prowadzi nas autor do centrum miasta, opisując ulice, kamienice i gmachy publiczne. W Hotelu Podolskim pan Szydłowski w 1910 r. zorganizował stały kinoteatr (rys. 6). Dalej korso tarnopolskie, czyli ul. A. Mickiewicza. Przesuwają się jak w kadrze fasady secesyjnych kamienic i pałacików, jak np. Czosnowskich, który odkupił później Bank Ruski, kolumnowy fronton Sądu Okręgowego, aż do rogu ul. Trzeciego Maja (ryc. 7—13), gdzie w perspektywie rysuje się gmach I Gimnazjum.

I tak wędrujemy po mieście mając za przewodnik i dokument dawnych czasów ten album. Wśród prezentowanych zabytków zwraca uwagę brama pylonowa zamku tarnopolskiego fundacji Tarnowskich, który na początku XIX w. nowy właściciel Franciszek Korytowski przekształcił w pałac (ryc. 22), spalony w 1917 r., odbudowany w 1931 r. Mieścił on niezwykle cenne archiwalia miejskie, w 1944 r. wyrzucone na bruk i spalone przez sowieckich okupantów. Ryc. 24 przedstawia piękną secesyjną willę Aleksandra Grabowskiego, znanego lekarza tarnopolskiego. Jest i zaginiony kompletnie świat żydowski: ul. Perla oraz sklep z szyldem „Salomon Fischer”, obok którego zatrzymały się szczupłe wysokie postacie w chałatach i czarnych kapeluszach (ryc. 27). Wszyscy zginęli. Ulica Perla wraz z całą dzielnicą żydowską zostały unicestwione w latach 1941—1943. Tylko na starych pocztówkach oglądać można żydowskich sitarzy na pl. Kazimierzowskim (ryc. 30). „Umieszczony na wzniesieniu, skąd roztacza się rozległy widok na dolinę Seretu, budynek przedstawia się nader sympatycznie” — jak donosi „Słowo Polskie” z dnia 6 VII 1904 r. (ryc. 39). To ochronka polska przy ul. Ostrogińskiego.

Pierwszy pomnik Marszałka Piłsudskiego w Polsce przedstawia ryc. 45. Zniszczony przez bolszewików 6 I 1940 r. stał na placu Sobieskiego. Dumą Tarnopola był także kościół oo. Domini-

kanów — piękny przykład architektury barokowej z 1749 r. fundacji hetmana wielkiego koronnego Józefa Potockiego. Stał i stoi na pl. Dominikańskim, tylko nie służy już katolikom obrządku rzymskiego (ryc. 47—53). Rokokowe epitafium fundatora z roku 1778 — jak pisze autor albumu — zniszczyła ręka głupca, tylko tekst jego zachował się w publikacji ks. Żyły *Kościół oo. Dominikanów w Tarnopolu 1749—1779* (wyd. we Lwowie w 1917 r.).

Polsko-żydowsko-ukraiński Tarnopol miał swoje cerkwie i synagogi. Ryc. 59 przedstawia cerkiew parafialną z XVII w. przy ul. Ruskiej. Jest i druga, starsza, XVI-wieczna (ryc. 60), a przy ul. Podolskiej stała żydowska bóżnica (ryc. 62, 63).

Na koniec „ozdobą prawdziwą i dumą Tarnopola jest ogród spacerowy, co się zowie, piękny i — co rzecz rzadka w prowincjonalnych miastach — bardzo starannie utrzymany”. Ryc. 65 przedstawia fragment tego parku urządzonego w 1861 r. przez lwowskiego ogrodnika inż. Bauera. Palmy, iglaste egzoty, dywanowe kwiatniki, latarnie, na ławkach towarzystwo w strojach *belle epoque*. Tak, to była Europa w Tarnopolu — mieście okrutnie skrzywdzonym przez los w czasie I, a zwłaszcza II wojny światowej, w której przepadło 90% substancji miejskiej. Miasto to jednak żyje i zachwyca swą urodą w albumie-przewodniku-dokumentcie C. E. Blicharskiego.

Uczcie się tego Tarnopola kresowiaci i wszyscy interesujący się kulturą i historią Ziemi Wschodnich RP. Prezentowany album pomoże Wam w tej edukacji.

Uwaga

TARNOPOLANIE I KRESOWIACY!

Nie miał Tarnopol szczęścia do historyków. Brakuje historii grodu, który powstanie swe w roku 1540 zawdzięcza hetmanowi wielkiemu koronnemu Janowi Tarnowskiemu. Są tylko krótkie zarysy historii Tarnopola w takich pracach, jak *Przeszłość i zabytki województwa tarnopolskiego* A. Czołowskiego i B. Janusza, *Przewodnik po województwie tarnopolskim* T. Kunzecka. Większa monografia autorstwa A. Przybosia, która miała uczyć zbliżający się w roku 1940 jubileusz 400-lecia miasta, spoczywa w formie maszynopisu w archiwum PAN w Warszawie. To zaś, co powstało i ukazało się drukiem w Tarnopolu, nie zasługuje na przymiotnik „historyczny”.

Wspólnym wysiłkiem tarnopolan w kraju i za granicą wydany został album *Tarnopol zatrzymany w kadrze pamięci* autorstwa C. E. Blicharskiego (Wydawnictwo Muzeum Miejskiego w Zabrzu, 1992).

Obecnie przygotowana jest do druku *Historia Tarnopola w latach 1809—1945* (ok. 300 ss.+indeksy i fotografie).

Wszystkich, którzy mogą wesprzeć finansowo wydanie tej publikacji, prosimy gorąco o wpłaty na konto Zarządu Głównego TML i KPW: PKO IV/O Wrocław — 93549—99192—132 z zaznaczeniem „na wydanie historii Tarnopola”.

Można również przysyłać wpłaty na ten cel bezpośrednio na adres autora przygotowującej pracy

Czesław E. Blicharski
ul. Bytomska 125/4
41—803 Zabrze

Wiersze o Lwowie

SYGNALIZUJEMY PAŃSTWU wydane ostatnio wiersze o Lwowie Jerzego Masiora. pt. *Tyle Cię wszędzie*.

LWÓW. Jest coś takiego w tym mieście, w jego niepowtarzalnej atmosferze, co nie pozwala nikomu, nigdy i nigdzie o nim zapomnieć. Coś, co każe doń wracać choćby w snach, w myślach, w opowieściach, w pieśni.

Gorące przywiązanie autora do miasta „szczenięcych lat” znalazło wyraz w prawie stu wierszach wydanych przez krakowskie wydawnictwo „Apican”. W ich rytmie wraz z Jerzym Masiorem wędrujemy ulicami Lwowa, zaglądamy na podwórka zapomnianych domów, słuchamy słowików w lwowskich parkach (a słowiki kłaskały tam najpiękniej, tak jak najmocniej pachniały bzy), zjeżdżamy na sankach ze wzgórz Kajzerwaldu, przeżywamy pierwsze zakochania, pierwsze randki. I znowu mamy dziesięć, piętnaście czy osiemnaście lat — my „zawsze wierni” naszemu miastu — miastu, w którym nas nie ma, ale które na zawsze jest i będzie w nas.

ZYGMUNT ANTKOWIAK

Niebo i piekło mojej ziemi

Władysław ŻOŁNOWSKI, dziś opolanin, jest autorem wydanej w 1992 r. własnym sumptem książeczki niedużej (64 strony formatu A — 6), lecz jak najbardziej godnej uwagi. *Niebo i piekło mojej ziemi* to wspomnienia z ponurych lat 1939 — 1945, zapamiętane przez małego wówczas chłopca, który spisał je dopiero ostatnio. Rzecz dotyczy tragicznych wydarzeń, które rozegrały się w rodzinnych stronach autora, pod Brzeżanami. Są to wydarzenia skądinąd typowe dla całych Kresów. Najpierw był więc pamiętny 17 września 1939 r. oraz koniec „pańskiej Polski” na tych ziemiach, w ślad za tym masowe aresztowania i wywózki Polaków na Sybir, potem zaś — w 1941 r. wkroczenie Niemców, przyjęte początkowo z prawdziwą ulgą przez tych, którym dane było przeżyć brutalne represje bolszewickie.

Najgorsze jednak miało dopiero nadejść. W 1943 r. zaczęły się barbarzyńskie mordy popełniane przez banderowców na bezbronnej ludności polskiej. We wspomnieniach Żołnowskiego przewijają się takie nazwy miejscowości, jak Huta, Rohaczyn Miasteczko, Rohaczyn Wieś, Wulka, Narajów, Pasieszcze. Następują przerażające opisy napadów i bestialstw bandytów spod znaku tryzubą, bestialstw, w zestawieniu z którymi błędą dochodzące nas dziś relacje tragicznych wydarzeń w byłej Jugosławii.

Już w marcu 1943 r. zginęło z rąk upowców 35 Żydów i na początek, w samą Wielkanoc, kilkunastu Polaków z Huty, w kwietniu 1945 r. 47 Polaków z rodzinnej miejscowości autora — Rohaczyna Miasteczka. Masowym mordom towarzyszyły rabunki i pożary, których pastwą padały domy mieszkalne i zabudowania gospodarcze — cały dobytek skromnych, spokojnych chłopów i robotników huty szkła w Hucie — ludzi, którzy do tego czasu żyli w przykładowej zgodzie, często w przyjaźni z miejscową ludnością ukraińską. Sprawiedliwym spośród niej, którzy przeciwstawiali się zbrodniom, a niekiedy też ratowali Polakom życie, Żołnowski oddaje należny hołd, upamiętniając m.in. Bohdana Narajewskiego, zamordowanego przez własnych rodaków za to, że usiłował bronić Polaków. Gehenna tych, którzy uszli z życiem, kończyła się ucieczką do względnie bezpiecznego miasta powiatowego — Brzeżan, i przymusowym opuszczeniem w 1945 r. stron rodzinnych.

Zawarte w tytule książki Żołnowskiego „niebo” to utracony raj jego dzieciństwa — strony ojczyste, opisane z prawdziwym liryzmem i miłością, a także — co szczególnie godne podkreślenia — z autentycznym talentem literackim. Było, niestety, w zie-

lonych latach autora także straszliwe „piekło”, stąd pełny tytuł wspomnień z jego ziemi. To dobrze, iż ujrzały one światło dzienne, jako że jest naszym świętym obowiązkiem upamiętnianie ofiar zbrodni lat 1939 — 1945 na ziemiach utraconych. Żal, że wydawanie publikacji tego typu wciąż przychodzi z niemalym trudem, że muszą się one ukazywać nakładem własnym autorów, stąd też w skromnej szacie graficznej.

KSIĄŻKĘ MOŻNA NABYĆ

u autora,
w biurze Zarządu Głównego TML
lub u p. L. Flisa, ul. Prądyńskiego 14/16

APEL

Do środowiska lwowiaków

Jako żołnierz 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, w grupie 36 Polaków przebywałem na przełomie maja i czerwca 1944 r. w obozie jenieckim (stałag 328) w cytadeli lwowskiej. Byłem organizatorem dwukrotnych ucieczek, w których wyniku wyprowadziłem za pierwszym razem mężczyznę w wieku 24 — 30 lat, w następnych zaś dniach dwóch młodzieńców w wieku 17 — 19 lat z sąsiedniej sekcji obozu, w której Niemcy przetrzymywali ofiary dokonywanych wówczas masowych łapanek cywilów na terenie Lwowa. Nasza udana ucieczka zmobilizowała również innych.

Z moimi współuczestnikami ucieczki trafiłem do dziadka jednego z nich (chyba ze strony matki) o nazwisku Paweł Buczkowski. Ofiarował mi on metrykę swego syna, który zginął na Majdanku, o nazwisku Jan Buczkowski, ur. w Konoplanówce 22 kwietnia 1918 r. w parafii Biały Kamień (Rosja). Na podstawie pewnych okoliczności towarzyszących opiece nade mną domyślam się, że uwolnieni przeze mnie lwowiacy byli żołnierzami AK. Prowadzono ze mną rozmowy o charakterze wywiadowczym na temat obozu, zapewniono mi eskortę dwóch łączników i przerzut przez granicę oraz zamelinowanie we wsi Zagórz k. Monasterza w pow. przeworskim. Tam też umożliwiono mi kontakt z pułkownikiem, którym — jak mnie poinformowano po wyzwoleniu — miał być dowódca okręgu lwowskiego płk. „Radosław”.

Teraz, po upływie niemal półwiecza, ulegając namowom kolegów ze środowiska 27 WDP AK, przystępuję do spisania swoich wspomnień z okresu okupacji. Byłbym zatem niezmiernie wdzięczny za wszelkie uwagi i sprostowania uzupełniające ten fragment lwowskich „przygód”, które niewątpliwie miały niezwykle charakter. Za rzecz wręcz nieziszczalną uznałbym możliwość nawiązania kontaktu z osobami, z którymi dane mi było zetknąć się w czasie pobytu we Lwowie.

Wszelkie informacje lub propozycje spotkań celem przekazania bezpośrednich relacji proszę kierować pod moim adresem.

Mieczysław Brzuskowski
ul. Starowiejska 31
34 — 120 Andrychów

Łączę wyrazy wdzięczności za wszelką okazaną mi pomoc zarówno w przeszłości, jak i w przyszłości.

O katalogu zabytków kultury ukraińskiej w Polsce

Na rynku wydawniczym ukazała się na początku bieżącego roku praca, pt. „*Pamiętki i zabytki kultury ukraińskiej w Polsce*”, autorstwa Andrzeja Saładiaka.

Właściwą treść tej książki-katalogu poprzedza słowo wydawcy Przemysława Burcharda, który m.in. pisze, że „Nadeszła pora dać Ukraincom, zwłaszcza młodym, jakąś satysfakcję za lata krzywd i poniżenia [...] podać do wiadomości rejestr masowych wysiedleń, zagłady licznych wiosek [...]” (s. 6).

W części wstępnej zamieszczony jest również zarys historii Ukraińców w Polsce, której autorką jest Dorota Sochacka. Przedziwne poglądy, które prezentuje w tym zarysie, wymagają osobnej recenzji. Oto przykłady: przyczyny akcji Wisła wciąż są nieznane (s. 14), znaczenie w XVI wieku ówczesnego pojęcia „Litwa” nie jest jasne (s. 19), wszystkie polskie rody książęce z wyj. Lubomirskich były i są pochodzenia ukraińskiego (s. 20). Szkoda, że autorka nie sięgnęła do pracy J. Ochmańskiego *Historia Litwy*, wydanej przez Ossolineum w 1990 r. A już znaną skądinąd manipulacją jest ocena okupacji niemieckiej w Polsce, odnoszącej się do działań partyzancki polskiej, ukraińskiej i sowieckiej. Cytuje: „Walki toczyły się na zasadzie wszyscy przeciwko wszystkim. W takich okolicznościach doszło do wzajemnych napadów na wioski polskie i ukraińskie i mordowanie cywilnej ludności” (s. 27).

Pan Andrzej Saładiak z podziwu godną skrupulatnością wymienił przeszło 1300 miejscowości w Polsce, w których opisał nie tylko zabytki architektury — cerkwie obu obrządków, *ucrainiana* w zbiorach archiwalnych i muzealnych, cmentarze greckokatolickie i prawosławne, miejsca po nie istniejących już świątyniach, ale liczne pamiętki związane z ukraińską historią wojenną i społeczną. Ślady te tropi autor niesłuchanie dokładnie — wymienia np. mogiły żołnierzy Armii Czerwonej w Górach Świętokrzyskich, gdyż wśród nich „niewątpliwie było wielu Ukraińców” (s. 445). Ale jeżeli się przyjmie to założenie, to inne cmentarze radzieckie na terenie Polski powinny też być wyszczególnione wśród „pamiętek ukraińskich”.

W obszar kultury ukraińskiej włączył autor południową część woj. białostockiego oraz „klin” lemkowski. Wolno mu przyjąć taki punkt widzenia, choć znam Białorusinów, dla których Białowieża nie wiąże się w żadnym razie z tą kulturą.

Katalog ten pełni również rolę przewodnika związanego z działalnością UPA i akcją Wisła. Nierzetelne są informacje przy miejscowościach, gdzie toczyły się walki z UPA. We wsiach woj. przemyskiego nie podano narodowości ofiar, choć wiadomo, że byli to Polacy (Wiązownica, s. 275; Cieszanów, s. 277), podano natomiast narodowość, gdy chodzi o Ukraińców (Łazy, s. 267).

Pisze się „masakry ludności ukraińskiej przez Ludowe Wojska Polskie” (Kobylnica Ruska, s. 294), w odniesieniu zaś do działań UPA używa się określeń „atak lub napad kurenia, lub zniszczenie przez UPA” (Horyniec, s. 280).

Trochę obiektywniejsze informacje dotyczą woj. krośnieńskiego. Przy Baligródzie jest nota, że sotnie UPA rozstrzelały 42 Polaków i nielojalnych Ukraińców (s. 138). Chodzi tu prawdopodobnie o tych, którzy bronili sąsiadów Polaków, lub tych, co nie chcieli wstąpić do UPA.

Są „pamiętki” związane z SS „Hałyczyna”, wymienione w informacji dotyczącej Stalowej Woli (s. 304). Osobliwa jest informacja dotycząca miejscowości Werhrata, gm. Horyniec, woj. przemyskie. W okolicznym lesie znajdował się tam bunkier krajowego prowadnika UPA „Stiaha”. Cytuje: „Stąd w latach 1945–1947 kierował działaniami oddziałów UPA w Polsce, Zakierzońskim Kraju” (s. 284).

Rozumiem patriotyzm Andrzeja Saładiaka, ale jestem zdania, że katalog zabytków kultury ukraińskiej legitymujący się tak cennymi dziełami architektury, jak Cerkiew w Radrozu, powinien być oddzielnym wydawnictwem z zakresu historii sztuki od owych „pamiętek” wojennych, które wzbudzają delikatnie mówiąc kontrowersje natury politycznej.

Książka ta jest pewnym wyzwaniem dla polskich historyków. Uważam, że powinna mieć odpowiednik w postaci katalogu-przewodnika po zabytkach i miejscach pamięci narodowej polskiej na Ukrainie. Jeżeli przyjmijemy w nim układ i treść katalogu A. Saładiaka, to obejmie on nie tylko męczeńskie miejscowości Wołynia i Podola, ale Lwów, Stanisławów, Tarnopol, Kijów, Winnicę, Żytomierz, Kamieniec Podolski i Braclaw, a nawet Odessę i Krym, bo przebywał tam Mickiewicz. Oczywiście musi to być wydawnictwo wielotomowe. Tylko żywie uzasadnione obawy, że autorzy, którzy by zechcieli taką pracę, jak A. Saładiak w Polsce, wykonać na Ukrainie, nie mieliby takich warunków i możliwości. A. Saładiak miał swobodne doświadczenie do polskich instytucji naukowych, do bibliotek i archiwów, prowadził w tym celu rozległą korespondencję. Czy możliwe byłoby natomiast swobodne korzystanie ze zbiorów Ossolińskich we Lwowie, czy choćby składnicy muzealnej w Olesku?

Ale miejmy nadzieję, że „Opierając się na pozytywnych wartościach wielowiekowego wspólnego dziedzictwa kulturowego Polski i Ukrainy, i ich wkładu do cywilizacji europejskiej. Strony będą sprzyjać współpracy w dziedzinie kultury, nauki i oświaty, przestrzegając światowych i europejskich standardów określonych w szczególności w konwencjach UNESCO, Europejskiej Konwencji Kulturalnej z 1953 roku i dokumentach Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, w tym Krakowskiego Sympozjum na temat Dziedzictwa Kulturalnego Państw Uczestniczących w Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie”.

Jest to treść punktu pierwszego artykułu 13 *Traktatu między Rzeczpospolitą Polską a Ukrainą o dobrym sąsiedztwie, przyjaznych stosunkach i współpracy*.

**„Semper Fidelis” dociera do wielu krajów na wszystkich kontynentach
Zachęcamy do reklamowania się
na naszych łamach**

Ceny ogłoszeń w ramach	
cała strona	— 12 000 000
1/2 strony	— 7 000 000
1/4 strony	— 4 000 000
1/8 strony	— 2 000 000
za jedno słowo	20 000

Z ŻYCIA TOWARZYSTWA

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI ZARZĄDU GŁÓWNEGO TML I KPW

ZA OKRES OD 15 XII 1991 DO 30 XII 1992 R.

Zarząd Główny obecnej kadencji wybrany został przez III Walny Zjazd Delegatów w dniach 14–15 XII 1991 r. w Brzegu. Zgodnie z przyjętym wnioskiem delegatów ograniczono do 15 liczbę członków ZG. Z tej liczby 7 osób mieszka we Wrocławiu, 8 zaś w innych miastach (Brzeg, Jelenia Góra, Bytom, Katowice, Kraków, Rzeszów, Tychy). Niezwłocznie po wyborze przystąpiono do reorganizacji pracy biura ZG jako podstawy rutynowej, bieżącej działalności. Na podstawie umowy-zlecenia biuro prowadzi Janina Tomala.

Z końcem grudnia 1991 r. podjęto starania u prezydenta miasta Wrocławia mające na celu cofnięcie wypowiedzenia lokalu, który ZG otrzymał za prezesury Andrzeja Kamińskiego, niełatwe rozmowy z władzami miasta dały jednak efekt, siedziba ZG pozostała w Ratuszu.

Tematami pierwszych posiedzeń ZG były sprawy bilansu, protokołu zdawczo-odbiorczego (podpisanego przez Zarządę ustępujący i nowy), kompletowanie materiałów do drugiej części Zjazdu Statutowego TML, wyznaczonego na 29 II 1992 r. w Brzegu. W tym czasie prezes ZG Danuta Nespiak wydała oświadczenie do prasy w sprawie wypowiedzi telewizyjnej prof. K. Modzelewskiego, przedstawiającego w fałszywym świetle prawny status Cmentarza Obrońców Lwowa. Drugą część Zjazdu w Brzegu poświęcono szerokiej dyskusji nad proponowanymi poprawkami, w której efekcie delegaci przyjęli ustalenia nowego statutu. Po zjeździe skompletowane materiały złożono w sądzie, celem rejestracji. Do obsługi bieżącego obiegu dokumentów finansowych przyjęto na umowę-zlecenie księgową Ewę Waśkowską, która do 3 XI 92 r. prowadziła również dokumentację finansową wpłat na Fundację Semper Fidelis.

Zgodnie z uchwałą Zjazdu Statutowego podjęto przygotowania do powołania Komitetu Odbudowy Cmentarza Orląt. Prace te prowadził wiceprezes Andrzej Chlipalski. Równolegle ZG we Wrocławiu przy bardzo wydatnej pomocy kustosza Muzeum Historycznego Ireny Zielińskiej podjął starania u władz miasta i dyrekcji muzeum o utworzenie we Wrocławiu placówki muzealnej poświęconej kulturze Kresów Wschodnich. Przyniosło to rezultaty, wyrażono zgodę na otwarcie Działu Kultury Kresów Wschodnich w Muzeum Historycznym miasta Wrocławia.

Na początku maja 1992 r. rezygnację z funkcji sekretarza ZG i członka Zarządu złożyła Krystyna Karbownik. 9 maja 1992 r. ZG dokooptował do swego składu (zgodnie ze statutem) 3 członków. W wyniku głosowania wybrano Halinę Mędręk, Józefa Pichlera i Zdzisława Pelca.

W związku z sytuacją społeczno-polityczną i krytyczną, nie tylko w środowiskach kresowych, oceną polityki wschodniej rządu RP – Zarząd Główny TML i KPW wydał oświadczenie w formie listu otwartego do ówczesnego premiera Jana Olszewskiego, wyrażające stanowisko naszego Towarzystwa w tej sprawie. List wysłano do redakcji wszystkich czołowych dzienników polskich, ale tylko prasa lokalna („Słowo Polskie” we Wrocławiu) zamieściła go z dużymi skrótami. List ten prezes ZG Danuta Nespiak wręczyła osobiście posłowi wrocławskiemu R. Czarneckiemu z ZCHN z prośbą o dostarczenie go adresatowi.

Wyboru na wakującą funkcję sekretarza Zarząd Główny dokonał w czasie swojego posiedzenia w Krakowie w dniu 22 VI 1992 r. Wybrany Józef Pichler zajął się przede wszystkim sfinalizowaniem przeciągającej się rejestracji nowego statutu. W następnym dniu 23 VI 1992 r. w Krakowie odbyło się zebranie poświęcone powołaniu Komitetu Odbudowy Cmentarza Obrońców Lwowa. Udział w nim wzięli również dyrektor Energopolu Oddział Kraków Józef Bobrowski, pełnomocnik ministra kultury Ryszard Brykowski, kierownik polskiej brygady porządkującej cmentarz Eugeniusz Cydzik ze Lwowa oraz prezes Stowarzyszenia Odbudowy Cmentarza Orląt w Sopocie Jan Łaptaszyński. W efekcie starań komitet taki utworzony został w Warszawie przy Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, podległej bezpośrednio Urzędowi Rady Ministrów, w siedzibie Rady, przy ul. Kruczej 36. Z ramienia ZG w skład jego weszli prezes Danuta Nespiak oraz wiceprezes Andrzej Chlipalski.

W dniu 30 VI 1992 r. Sąd Wojewódzki, Wydział I Cywilny we Wrocławiu zarejestrował nowy statut naszego Towarzystwa, a orzeczenie o prawomocności rejestracji orzekł w dniu 17 VIII 1992 r.

W czasie przerwy wakacyjnej członkowie ZG wizytowali obozy harcerskie i kolonie letnie, na których przebywały dzieci polskie ze Wschodu. Prezes Danuta Nespiak uczestniczyła w Światowym Zjeździe Polaków i Polonii, który odbył się w Krakowie w dniach 19–22 VIII 1992 r., gdzie spotkała się z grupą naszych rodaków z Ukrainy, Rosji, Litwy, Białorusi i Kazachstanu. W czasie wakacji ZG gościł we Wrocławiu prezesa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej Stanisława Czerkasa oraz sekretarza odpowiedzialnego Towarzystwa Bolesława Sudomłaka.

Po przerwie wakacyjnej ZG pokrył koszty organizacji I Ogólnopolskiego Seminarium Historii Kresów Wschodnich, urządzonego przez Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Ukraińskich Nacjonalistów. Seminarium odbyło się we Wrocławiu w dniach 25–27 IX 1992 r., gromadząc z całej Polski ponad 80 uczestników.

5 X 1992 r. po uprzedniej rezygnacji Józefa Pichlera na sekretarza ZG wybrano Danutę Śliwińską.

Zarząd Główny zorganizował następujące wyjazdy w celu nawiązywania bezpośrednich kontaktów z naszymi rodakami we Lwowie:

– 25–28 VII 1992 r. prezes Danuta Nespiak i członek ZG Halina Mędręk prowadziły we Lwowie rozmowy z Zarządem Głównym TKPZL, Klubem Myśli Katolickiej, Komitetem Charytatywnym przy Katedrze Lwowskiej, Eugeniuszem Cydzikiem – kierownikiem polskiej brygady z Cmentarza Orląt, E. Chmielową – prezesem Federacji Polskich Organizacji na Ukrainie i Bożeną Rafalską – redaktorem naczelnym „Gazety Lwowskiej”.

– 17–22 X 1992 r. przebywali we Lwowie – prezes Danuta Nespiak, wiceprezes Jan Skalski, sekretarz Danuta Śliwińska, wiceprezes Głównego Sądu Koleżeńskiego Jan Ziembicki i kierownik biura ZG Janina Tomala. W trakcie pobytu przeprowadzono rozmowy i spotkania z Zarządem Głównym TKPZL oraz prezesami oddziałów tego Towarzystwa z województwa lwowskiego na specjalnym zebraniu w siedzibie tej organizacji na Rynku (kamienica nr 17), z konsulem RP Henrykiem Litwinem, dyrekcją szkół polskich we Lwowie, Eugeniuszem Cydzikiem i pracownikami jego brygady odbudowującej Cmentarz Orląt, redakcją „Gazety Lwowskiej” oraz Polakami mieszkającymi we Lwowie na zebraniu Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej w szkole nr 10.

– 10–13 XII 1992 r. do Lwowa pojechali wiceprezes Emil Teśluk, sekretarz Danuta Śliwińska i członek ZG Leszek Sawicki. Udali się tam z pomocą charytatywną. Transportem Śląskiego Okręgu Wojskowego przewieziono ogółem 8 ton żywności, odzieży, leków i sprzętu liturgicznego. Dary dostarczono do siedziby ZG TKPZL na Rynku. Przeprowadzono rozmowy z Zarządem Głównym TKPZL, Komitetem Charytatywnym przy Katedrze Lwowskiej, dyrekcją szkoły polskiej nr 24, przedstawicielami Teatru Polskiego i chóru ECHO, redakcją „Gazety Lwowskiej”, Eugeniuszem Cydzikiem i innymi pracownikami odbudowującymi Cmentarz Orląt.

Z powołanych przez ZG komisji działalność prowadzą:

Komisja Współpracy z Polakami na Wschodzie (Danuta Śliwińska), z sekcją charytatywną (Halina Mędrak) i Komisja Kultury kierowana przez Danutę Skalską. W trakcie organizacji jest Komisja Historyczno-Wydawnicza (zgłosiły się już dwie osoby), rozpocznie działalność w 1993 r. Trudności wiążą się z brakiem jakichkolwiek funduszy na wydanie zgłoszonych i złożonych wydawnictw, w tym monografii instytutu prof. R. Weigla w czasie okupacji niemieckiej we Lwowie. Nie udało się do tej pory powołać Komisji Prawno-Ekonomicznej, brak chętnych. Ponowimy apele w tej sprawie. Wypełniając uchwałę III Walnego Zjazdu Delegatów opiekę nad makroregionami przejął wiceprezes Jan Skalski. Uczestniczył on razem z innymi członkami ZG w zjazdach makroregionu pld.-zach., które odbyły się we Wrocławiu w dniu 16 V 1992 r. i w Brzegu w dniu 29 VIII 1992 r.

Inne makroregiony nie ukonstytuowały się jeszcze, na co zapewne ma wpływ trudna sytuacja finansowa, ograniczająca kontakty i wyjazdy oraz brak inicjatywy ze strony zarządów oddziałów. Nie zrealizowano również uchwały dotyczącej wytypowania opiekunów poszczególnych oddziałów i klubów, co wiąże się z kosztami wyjazdów i brakiem chętnych do przyjęcia tego obowiązku. Wyjątkiem jest Bolesław Opalek, prezes rzeszowskiego oddziału TML i KPW oraz członek ZG, który zobowiązał się do przejęcia opieki nad oddziałami i klubami w Lubaczowie, Przemyślu, Jarosławiu, Łańcutcie, Sanoku i Przeworsku.

Zjazd prezesów i delegatów oddziałów i klubów TML i KPW, który odbył się w dniach 7–8 XI 1992 r. w Brzegu, wystosował list otwarty do prezydenta RP Lecha Wałęsy. Wysłany został do wszystkich czołowych dzienników polskich, ale opublikowało go tylko „Słowo Powszechne” i fragmenty „Nowy Świat”.

W trakcie tej kadencji członkowie ZG brali udział w wielu zebraniach i spotkaniach okolicznościowych w naszych oddziałach w Polsce (np. prezes Danuta Nespiak wzięła udział w 12 takich spotkaniach w 1992 r.).

24–25 X 1992 r. przedstawiciele ZG wzięli udział w III Ogólnopolskim Zjeździe Lwowiaków w Częstochowie.

W roku kalendarzowym 1992 Zarząd Główny odbył 6 posiedzeń w pełnym składzie: 18 I – Wrocław, 29 II – Brzeg, 9 V – Wrocław, 22 VI – Kraków, 12–13 IX – Karpacz, 7–8 XI – Brzeg. Posiedzenia prezydium odbywały się co dwa tygodnie w przyjętych uprzednio terminach. W celach informacyjnych ZG wydaje wewnętrzny biuletyn.

ODDZIAŁY I KLUBY W 1992

KATOWICE

Na comiesięczne zebrania plenarne wszystkich członków zapraszano ludzi nauki, kultury i sztuki, którzy uświetniali te spotkania prelekcjami, gawędami lub wspomnieniami. Byli to m.in. prof. Jerzy Węgierski, prof. Wacław Suchogorski, prof. Stanisław Józkiwicz, prof. Jerzy Zieliński, prof. Zygmunt Woźniczko, kompozytor Wojciech Kilar, nestor Teatru im. S. Wyspiańskiego Ryszard Zaorski, prof. Edward Prus, architekci Jan Boberski i P. Wojciech Migocki. Tematyka dotyczyła głównie Lwowa i Kresów, dorobku kulturalnego i naukowego tych ziem, a także trudnych lat okupacji.

Poza zespołami Kapeli Przemyskiej TA JOJ, Teatru Poezji z Nowego Sącza Oddział Katowicki gościł:

– grupę artystów z Brześcia, w tym niewidomą śpiewaczkę, która uświetniła spotkanie opłatkowe. Zbierano datki na odbudowę kościoła rzymsko-katolickiego w Brześciu.

– ks. Antoniego Andruszczyszyna ze Sławęty (dwukrotnie). Zbierano fundusze na odbudowę kościoła w Sławęcie.

– Dorę Katznelson z Drohobycza oraz posłankę z Gliwic, p. Jadwigę Rudnicką, będącą członkiem Komisji Łączności z Polakami i wiceprzewodniczącą Międzyparlamentarnej Komisji Polsko-Ukraińskiej w Sejmie.

Staraniem członków Zarządu Oddziału i przy pomocy Związku Górnośląskiego ukazało się opracowanie pt. „Udział Lwowian w życiu społecznym Górnego Śląska”. Jest to cenny zbiór archiwalny i historyczny wkładu lwowian i kresowianów w rozwój życia kulturalnego, naukowego i społecznego na Górnym Śląsku.

LUBLIN

Tradycyjnym zwyczajem w listopadzie obchodzone były niezwykle uroczyste Dni Lwowa, związane z bohaterską obroną miasta i Kresów. Program obchodów obejmował:

– 1 XI 1992 r. uroczyste złożenie wiązanek kwiatów i plaketek pamiątkowych na grobach uczestników Obrony I Odsieczy Lwowa w 1918 r. na cmentarzach lubelskich;

– spotkania 6 XI 1992 r. z prof. dr. Janem Erstem,
21 XI 1992 r. z prof. dr. Leszkiem Tomaszewskim,
25 XI 1992 r. z red. Jerzym Janickim (wieczór autorski);

– 18 XI 1992 r. koncert uczniów Szkoły Muzycznej dla lwowiaków;

22 XI 1992 r. uroczysta Msza św. w Katedrze Lubelskiej w intencji obrońców Lwowa i członków Oddziału TML i KPW.

NOWY SĄCZ

Klub Nowosądecki powołał do życia młodzieżową Scenę Poetycką z tekstami i muzyką w opracowaniu własnym. Zespół ten występował z powodzeniem w wielu ośrodkach lwowiaków i kresowianów w kraju. W 1992 r. wydana została książka poetycka prezesa Klubu dr Jerzego Masiora pt. *Tyle Cię wszędzie*, zawierająca 100 pięknych wierszy o Lwowie.

POZNAŃ

Oddział zajmuje się m.in.

– wydawaniem biuletynu, który zawiera artykuły członków Oddziału, przedruki z prasy krajowej dotyczące spraw związanych z Kresami, artykuły okolicznościowe, rocznicowe, humor oraz informacje o działalności Oddziału;

– sprawowaniem opieki nad 10-osobową grupą studentów różnych uczelni Poznania, którzy przyjechali do Polski ze Lwowa i Ziemi Lwowskiej.

RZESZÓW

Uczniowie Szkoły Podstawowej nr 14, im. Orłów Lwowskich, biorą udział we wszystkich uroczystościach rocznicowych, okolicznościowych – organizowanych przez tamtejszy Oddział TML i KPW.

ŚWIDNICA

W imprezach „Opłatek” i „Święcone” tradycyjnie biorą udział klerycy Zakonu Ojców Palotynów z Zabkowic Śląskich, przygotowujących się do pracy duszpasterskiej na Ukrainie. Klerycy pochodzą z rodzin polskich lub mieszanych, z terenów, na których w przyszłości będą pracowali.

OLEŚNICA

Z inicjatywy Zarządu Klubu w Bibliotece Miejskiej w Oleśnicy powstał Dział Lwowski, w którym gromadzone są książki i inne wydawnictwa o tematyce lwowskiej i kresowej.

JELENIA GÓRA

Oddział TML i KPW włączył się aktywnie do spotkań z uczestnikami corocznego narciarskiego Biegu Piastów, wręczając upominki dla przedstawicieli Lwowa i Kresów.

Oddział TML i KPW wspólnie z Miejską Biblioteką Publiczną zorganizował wystawę „Lwów miasto moich wspomnień”, na którą zapraszana jest przede wszystkim młodzież i grono nauczycielskie z miejscowych szkół.

JAROSŁAW

Zarząd Oddziału spowodował ustawienie krzyża na miejscowym cmentarzu z napisem „Pamięci zmarłych Lwowiaków i Kresowiaków, których prochy rozsiane są po całym świecie”.

Oddział prowadzi ciekawą działalność:

- zorganizował archiwum Buczacza i losów buczaczan (58 pozycji);
- w ub. r. wydał pierwszy numer biuletynu „Głos Buczaczan”;
- wśród niewielkiej liczby członków zebrano 20 mln zł na odbudowę kościoła w Buczaczu.

Danuta Śliwińska

POSZUKIWANIA

Dr Henryk Olesiak
ul. Kotlarska 11 E/83
Katowice

Poszukuje

Rodziny MROZEK (Stefania, Jadwiga, Daniel lub ich dzieci), zamieszkałej do 1945 r. w domu moich rodziców w Borysławiu, ul. Wodna 13, woj. lwowskie, osiadłej po przesiedleniu na Dolnym Śląsku.

Pana JESIONA współnika nieruchomości mojego ojca Jakuba OLESIAKA (tereny naftowe w okolicach Truskawca-Stebnika), zamieszkałego do 1945 r. w Borysławiu.

Osób znających Pana JESIONA i J. OLESIAKA, zamieszkających aktualnie w Borysławiu, Drohobyczu, Truskawcu lub innej miejscowości, które mogłyby potwierdzić posiadane nieruchomości lub odnalazły w urzędach dokumenty własności (za wynagrodzeniem).

Halina Jarmołowicz
53-403 Wrocław
Połaniecka 6/1

Zwracam się z gorącą prośbą o kontakt listowny z osobami, które we Lwowie znają moich Rodziców:

ROMUALD ŁABA i STEFANIA ŁABA

Bardzo proszę o jakiegokolwiek informację.

Osoby z Komarna pow. Rudki, które znają dra Jana DRZEWICKIEGO lub jego rodzinę, proszone są serdecznie o kontakt z córką Małgorzatą Izabelą Drzewicką, 02-908 Warszawa, ul. Sobolewska nr 9.

Ppłk inż. Władysław ŚNIADOWSKI, aresztowany przez NKWD we Lwowie w pierwszych dniach października 1939 r., przebywał w więzieniu na Zamarstynowie, później w Kijowie i ślad po nim zaginął. Nazwisko jego znajduje się na LIŚCIE KATYŃSKIEJ w grupie zaginionych. Ktokolwiek wiedziałby, gdzie przebywał i w jakich okolicznościach zginął, proszony jest o napisanie na adres: Maria Śniadowska-Komornicka, 2028 So. 30th St Milwaukee, WI 53215, USA.

Dawnych mieszkańców Malechowa prosi o kontakt listowny p. Eugeniusz WISŁOWSKI, 50-228 Wrocław, ul. Zegadłowicza 17.

Maria KUSTRA córka zamordowanego w „Brygidkach” Franciszka Kustry prosi o informację o losie siostry matki, Zofii DOLECKIEJ, z domu Małkowicz, lub o jej córce Herminie, które mieszkają do okupacji Lwowa na ul. Prostej, na Bogdanówce. Pani Maria prosi też o informację o losach p. Urszuli CIUŁŻYŃSKIEJ-SZULC, zamieszkałej przed wojną we Lwowie, przy ul. Kardynała Trąby. Informować proszę: TML Gliwice, pl. Inwalidów Wojennych 20.

GLÓWNA KOMISJA BADANIA
ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
OKRĘGOWA KOMISJA W KRAKOWIE
ul. Mikołajska 4

KOMUNIKAT

Okręgowa Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Instytut Pamięci Narodowej w Krakowie, ul. Mikołajska 4 (tel. 21-19-61, 21-11-00) prowadzi śledztwo w sprawie zbrodni popełnionych przez funkcjonariuszy władz sowieckich na obywatelach polskich po dniu 17 września 1939 r. na terenie dawnego województwa stanisławowskiego. W szczególności przedmiotem tego postępowania są zbrodnie popełnione przez funkcjonariuszy NKWD na polskich urzędnikach, nauczycielach, a zwłaszcza na więźniach przetrzymywanych w więzieniu w Stanisławowie bezpośrednio przed wkroczeniem na te tereny Niemców po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r. Ze sprawą tą łączyć się może odkrycie we wrześniu i w grudniu 1989 r. w Stanisławowie (obecnie: Iwanofrankiwnsk) obok dawnego Cmentarza Polskiego i w pobliskiej Pasicznej zbiorowych mogił kryjących szczątki kilkuset osób zamordowanych strzałami z broni palnej.

W związku z powyższym krakowska Komisja zwraca się z apelem do wszystkich posiadających informacje w tej sprawie, a także mających kontakt z ukraińskim Stowarzyszeniem „Memorial” i Organizacją „Ruch”, z których inicjatywy przeprowadzono ekshumacje tych mogił, o listowny lub bezpośredni kontakt na podany na wstępie adres.

UKRAIŃCEM BYĆ ...

Pani premier Hanna Suchocka podczas swej niedawnej dość kontrowersyjnej wizyty w Kijowie na spotkaniu z miejscowymi Polakami zapowiedziała, iż Polska zamierza w wyniku ustawy reparywacyjnej zwrócić lasy wysiedlonym Ukraińcom – obywatelom polskim.

Akcja przesiedlania Ukraińców z ich starych siedzib znajdujących się głównie w Bieszczadach na inne tereny Polski była niewątpliwym dramatem. Był to jednakże jeden z rozdziałów dramatu związanego z II wojną światową i jej następstwami.

Dramat ten rozpoczął się dla Polaków we wrześniu 1939 r. Totalitaryzm hitlerowski i bolszewicki działały zgodnie w kierunku biologicznej likwidacji narodu polskiego. Miliony niewinnych ludzi zginęły w obozach koncentracyjnych i łagrach.

Hitlerizm przegrał wojnę, lecz triumfujący bolszewizm prowadził nadal akcję biologicznego niszczenia narodu polskiego. Już po zakończeniu wojny setki tysięcy Polaków deportowano do sowieckich więzień i łagrów. Na obszarze samego PRL w ramach wprowadzania i „utrwalania władzy ludowej” UB i NKWD zlikwidowało 120 000–140 000 Polaków.

Dramatu Ukraińców przesiedlanych w granicach Polski nie można rozpatrywać bez tego kontekstu i bez kontekstu wojny ukraińsko-polskiej toczzonej przecież podczas okupacji niemieckiej i sowieckiej na terytorium Małopolski Wschodniej i Wołyniu. Wojskowe formacje ukraińskie dobrze uzbrojone przez Niemców i z nimi zaprzyjaźnione miały oczywiście nad Polakami ogromną przewagę. Efektem było prawie totalne zlikwidowanie elementu polskiego na wschód od Bugu i Sanu.

„Utrwalanie władzy ludowej” oznaczało też w PRL wydziedziczenie dużej warstwy ludności rolniczej, zamożniejszych rolników i ziemian, z ich siedzib, pól, łąk i lasów. Wielu z nich zlikwidowano lub deportowano do ZSRR.

Majątkości tej obecne władze polskie właścicielom, którzy przeżyli kataklizm komunistyczny lub ich następcom, nie zwróciły.

Ludność ukraińska ma stanowić wyjątek. Lasy mają być zwrócone dawnym właścicielom, pod warunkiem że należały do Ukraińców, a nie do Polaków.

Zaiste, swoista to logika i swoista postkomunistyczna sprawiedliwość.

Aleksander Dawidowicz
przewodniczący
Rady Naczelnej Federacji
Organizacji Kresowych

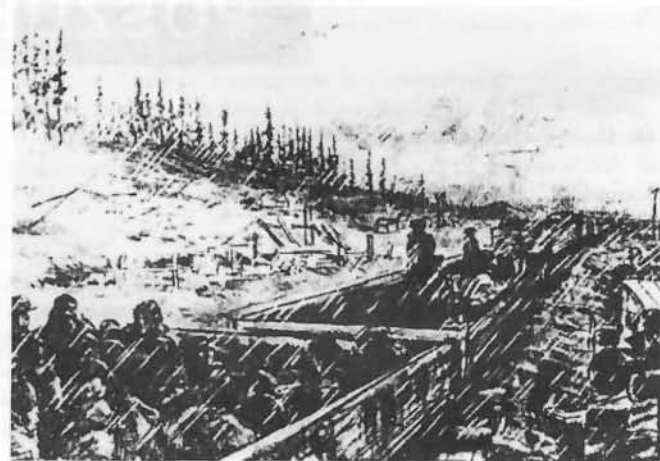
Augustyn Wierzbicki
ul. Potebni 26 m. 2
51-677 Wrocław

Nawiązując do artykułu p. Bronisława Szeremety w „Semper Fidelis” 2(12) 1992 r., pt. *Losy polskich żołnierzy w niewoli radzieckiej – II wojna światowa*, pragnę uzupełnić wiadomości na ten temat.

W czasie moich wędrówek po więzieniach i łagrach sowieckich – od sierpnia 1944 r. do kwietnia 1959 r. – w latach 1946–1948 znalazłem się w łagrach na terenie ASRR Komi nad Peczorą. Tam zetknąłem się z więźniami, którzy spotykali żołnierzy polskich wziętych do niewoli we wrześniu 1939 r. Jeńców polskich przywieziono tam na budowę linii kolejowej Kotłas–Workuta, drogi prowadzącej do zagłębia węglowego. Najwięcej o tej budowie i morderczej pracy na niej opowiadał mi ponad sześćdziesięcioletni wówczas Polak, Robert Dąbrowski (syn powstańca styczniowego) – lekarz i profesor Instytutu Medycznego

w Moskwie, wybitny chirurg po specjalizacji w Oxfordzie i Heidelbergu, władający biegle językami niemieckim, francuskim i angielskim, mówiący wspaniałą polszczyzną, choć nigdy nie był w Polsce.

Aresztowany został w końcu 1936 r. i zamieszany w tzw. sprawę Gorkiego. Maksym Gorki zmarł śmiercią naturalną w 1936 r., ale NKWD spreparowało oskarżenie, że został otruty przez lekarzy. Każdego lekarza, który kiedyś zetknął się z Gorkim aresztowano – spotkało to również dra DĄBROWSKIEGO,



Transport więźniów na platformach kolejowych
Okolice Kotłas – rok 1946

który przypadkiem raz go badał. Otrzymał wyrok 10 lat łagrów, z pozbawieniem prawa wykonywania zawodu lekarskiego. Wywieziono profesora do Komi i skierowano najpierw do lasu, a później na budowę linii kolejowej Kotłas–Workuta. Tam właśnie zetknął się z jeńcami polskimi (zima 1939/40 do lata 1941 r.). Warunki pracy na tej budowie były bardzo ciężkie; mordercza praca prymitywnymi narzędziami, w większości w czasie polarnej zimy trwającej ponad 9 miesięcy. Mrozy dochodziły do –55–59 stopni C, a na robotę gnano przy temperaturze –45 stopni C. Ta ciężka praca o głodzie i chłodzie, w trudnych, często uciążliwych warunkach mieszkaniowych i braku odpowiedniej opieki lekarskiej, szybko wykańczała jeńców. Śmiertelność była olbrzymia. Prof. Dąbrowski wspominał, że tylko przypadek uratował mu życie. Na początku 1940 r. wezwano go do komendy obozu, gdzie czekał na niego pułkownik, naczelnik zarządu obwodowego gułagu, który oświadczył mu, że jest do przeprowadzenia bardzo skomplikowana operacja; może ona uratować życie jego żony. Profesor zauważył, że przecież pozbawiono go prawa wykonywania zawodu, na to zachnął się pułkownik i oświadczył, że to nie ma znaczenia i błagał na kolanach, by lekarz ratował mu żonę. Profesor zgodził się mówiąc, że nikt nie zwolnił go z przysięgi lekarskiej o niesieniu pomocy chorym i potrzebującym. Operacja wykonana w szpitalu dla wolnych udała się, żona pułkownika została uratowana, a profesor już nie wrócił do fizycznej pracy, zaczął pracować jako lekarz obozowy. Tak dotrwał do 1946 r., kiedy został zrehabilitowany, a potem już jako człowiek „wolny” został nawet naczelnikiem szpitala obozowego w znanej miejscowości Parnasor nad Peczorą.

Trafiłem do tego szpitala w 1946 r. poważnie chory. Gdy wyzdrowiałem profesor zatrzymał mnie i zatrudnił w laboratorium (byłem bowiem po studiach w akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie).



Pierwsza faza budowy obozu. Do czasu wybudowania baraków mieszkalnych więźniowie śpią w skleconych z gałęzi szałasach. „Peczorlag”.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

ANDRZEJ CHLIPALSKI

Pani Wanda

Odeszła tego gorącego lata, w cierpieniach. Miała lat 86, ale niemal do końca zachowała tę niebywałą energię, humor i zainteresowanie dla otaczającego nas świata, które cechowały Ją — jak opowiadali — od wczesnej młodości. „Królowa życia” — takie określenie pasowałoby najbardziej do tej niezwykle osobowości.

Maria Wanda z Longchamps Olszewska, jedna z dwóch pierwszych — wraz z Danutą Sikorzanką — pilotek polskich, lwowianka od kilkunastu pokoleń, urodziła się w Ławocznem¹ w 1906 r. Była córką Jana Longchamps, nafciarza, i Stefanii z Adamowskich. Rodzina Longchamps de Berier to stara szlachta. Byli kiedyś we Francji hugenotami i uchodząc przed prześladowaniami religijnymi do tolerancyjnej Polski osiedli we Lwowie. Stało się to w pierwszej połowie XVIII w., mieli więc dość czasu, by się całkowicie spolonizować i dać Lwowowi i Polsce wielu wybitnych przedstawicieli. Bogusław Longchamps był powstańcem listopadowym, lekarzem i społecznikiem, Franciszek — powstańcem styczniowym i jednym z pionierów polskiego przemysłu naftowego. Roman Longchamps, profesor prawa, był ostatnim przed II wojną rektorem Uniwersytetu Jana Kazimierza, zamordowanym na Wulce w 1941 r. Niezwykłą postacią była Wanda z Dybowskich Longchamps, wybitna działaczka niepodległościowa w okresie powstania 1863 r., współzałożycielka patriotycznego stowarzyszenia tzw. Klaudynek we Lwowie. Wreszcie pamiętajmy, że cała połać wzgórz osłaniających Lwów od północy nazywała się Lonszanówką, bo tam miała swą posiadłość ta arcyłwowska rodzina.

Przenieśmy się w lata 1920. Lwów stawał się w tym czasie kolebką polskiego sportu szybowcowego i lotniczego. Przy politechnice powstał Aeroklub Akademicki², do którego wstąpiły dwie niedawne absolwentki lwowskich gimnazjów żeńskich — Królowej Jadwigi i Sacré Coeur, Danuta Sikorzanka i Wanda Olszewska (już wtedy żona adwokata dra Stanisława Olszewskiego).

Szkoliły się na lotnisku na Skniłowie i w 1929 r. zdały teoretyczny egzamin z pilotażu w Ministerstwie Komunikacji w Warszawie. Od tego czasu zaczęły się liczne i coraz dłuższe, samodzielne loty. Jedną z pierwszych imprez był długi lot wokół

Dzisiaj mogę powiedzieć, że prof. Dąbrowski uratował mi życie, zresztą nie tylko mnie, bo wielu Polaków zatrzymywał w szpitalu do różnych prac, by uchronić ich przed ciężką pracą fizyczną, a tym samym uratować od niechybnej śmierci. W szpitalu tym przebywałem od 1946 r. do października 1948 r. Z profesorem bardzo się zaprzyjaźniłem, byliśmy sobie bardzo bliscy.

W czasie jednej z rozmów, wspominaliśmy Katyń, profesor powiedział mi w zaufaniu, że Katyń — wiadomo — to było potworne morderstwo na jeńcach-Polakach, którzy z Sowietami nie prowadzili wojny. W Katyniu mordowano w ohydny sposób oficerów, a prości żołnierze ginęli w tysiącach innych obozów. Na „naszej” budowie pracowało w okresie 1939/40 r. po jesień 1941 r. ponad 120 tysięcy polskich jeńców, a kiedy gen. Anders zaczął tworzyć armię, to połowa z nich już nie żyła. W tych potwornych warunkach zmarło około 60 tysięcy polskich jeńców. Czy kiedyś świat dowie się o tej zbrodni i należycie osądzi jej sprawców...?

Polski, którego celem miało być propagowanie lotnictwa sportowego — to były przecież początki, bez których nie mielibyśmy dalszych — przedwojennych i powojennych sukcesów polskiego sportu lotniczego. Olszewska i Sikorzanka poprowadziły swoje samoloty z Katowic przez Kraków, Lwów, Stanisławów, Tarnopol, Łuck, Wilno, Grodno, Warszawę, Toruń i Poznań z powrotem do Katowic. Gdzieś po drodze, na bezludziu, musiały lądować z powodu złej pogody i w nocy pilnowały swych maszyn ... z rewolwerem. Na lotniskach witały je tłumy — kobiet w takiej roli jeszcze nie widziano. Następne pilotki, w innych ośrodkach, pojawiły się dopiero później.



Wanda Olszewska
w latach siedemdziesiątych

Sikorzanka i Olszewska latały do II wojny. Ta pierwsza (po mężu Stanisławowa de Lapierre, także żona lwowskiego adwokata) zginęła zamordowana w Brodach. Wanda Olszewska przeżyła wojnę szczęśliwie, pracując najpierw jako przyuczona pielęgniarka u prof. Groëra, potem jako karmicielka wszy w instytucie prof. Weigla³. Mieszkała wtedy wraz z matką przy rodzinie swego brata na Kadeckiej 28 (w tej kamienicy jako dziecko ją poznałem). Po

¹ Miejscowość letniskowa we Wschodnich Bieszczadach, nad Oporem, w powiecie stryjskim. Rodzina Longchamps miała tam dom.

² Niech mi wybaczą znawcy tematu pewne uproszczenia historyczne, bo nie tu miejsce na szczegółowe omawianie dziejów lwowskiej awiatyki.

³ Lwowianie pamiętają, że w instytucie Weigla był za okupacji niemieckiej zatrudniony kwiat inteligencji lwowskiej, bo praca ta zapewniała bezpieczeństwo.

wojnie osiadła w Krakowie. Przez wszystkie lata, aż do śmierci, jej mieszkanko przy ul. Sereno Fenna, a w lecie małeńki domek dzierżawiony w Dobrej koło Limanowej, były pełne ruchu, gości i ulubionego brydża. Dostawała stosy korespondencji od licznych przyjaciół z całego świata. Teraz im wszystkim będzie jej brakowało.

Swoje pamiątki i trofea lotnicze przekazała do Muzeum Lotnictwa w Warszawie, była w stałym kontakcie z aeroklubami i seniorami lotnictwa, nie tylko sportowego. Chętnie zapraszano ją na spotkania i imprezy. Nasze środowisko TML-owskie w Krakowie miało również okazję spotkać się z nią na jednym z comiesięcz-

nych wieczorów w 1988 r. Nadano mu charakter wywiadu, prowadzonego przez jej młodszego (niemal o całe pokolenie) kolegę z lotniska lwowskiego, Leszka Grubskiego, który jeszcze we Lwowie stawiał pierwsze kroki pilota sportowego.

Wanda Olszewska zmarła 24 lipca 1992 r. w krakowskim szpitalu im. Jana Pawła II i spoczęła na cmentarzu Rakowickim obok profesorowej Romanowej Longchamps – „Polskiej Niobe”, która w egzekucji na Wulce straciła męża i trzech synów. Czwarty syn, najmłodszy, dr inż. Jan Longchamps, choć zamieszkały w Gliwicach, był Pani Wandy do jej śmierci serdecznym i niezawodnym opiekunem.

20 kwietnia 1993 r. zmarł nasz serdeczny PRZYJACIEL
TADEUSZ PALEJ, ps. „Toldziu” ur. 3 VI 1923 we Lwowie.

Został pochowany na cmentarzu w Krakowie-Batowicach.

Od lipca 1941 r. do 27 VII 1944 r. żołnierz ZWZ-AK plutonu „Halina”, rejon „Astra” w dzielnicy Lwów-Wschód.

Po przeszkoleniu pełnił funkcję wywiadowcy.

Po akcji „Burza” wcielony do LWP.

Trzykrotnie ranny.

Pełen odwagi, koleżeński, kwitujący humorem trudne sytuacje życiowe — prawdziwe Dziecko Miasta Semper Fidelis.

Bezgranicznie oddany sprawom lwowskim.

W krakowskim środowisku Armii Krajowej III Obszaru Lwów pełnił funkcję przewodniczącego Komisji Weryfikacyjnej.

Odnaczony Kawalerskim Orderem Odrodzenia Polski, Krzyżem Walczących, trzykrotnie Medalem Wojska, Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem II Obrony Lwowa i Krzyżem Partyzanckim.

Był członkiem Kapituły Krzyża II Obrony Lwowa.

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI!

Kancelarz Kapituły Krzyża
II Obrony Lwowa
Lubicz

21 maja 1993 r. zmarł mjr Stanisław KAWA, ur. 10 VIII 1896 r. we Lwowie. Jako uczeń VI kl. gimnazjum we Lwowie wstąpił w 1913 do Związku Strzeleckiego, a następnie w sierpniu 1914 r. do 1 pułku piechoty I Brygady Legionów. Po odmowie przysięgi został wcielony do armii austriackiej i wysłany na front włoski. Po powrocie do Lwowa uczestniczył w Obronie Miasta Semper Fidelis, walcząc na I odcinku (Szkółka Sienkiewicza). Następnie brał udział w wojnie ukraińskiej, a w 1920 r. walczył z bolszewikami jako oficer w batalionie szturmowym w pociągu pancernym „Paderewski”, gdzie został ranny.

Odnaczony Krzyżem Niepodległości, Krzyżem Walczących, Krzyżem Obrony Lwowa, Krzyżem I Brygady Legionów Polskich, Odznaką Orłąt i Medalem za Wojnę 1920 r. Pochowany został na cmentarzu św. Rodziny na Sępolnie we Wrocławiu.

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI!

Prof. Zbigniew SICIŃSKI — WIERNY SYN LWOWA, to napis na Jego nagrobku. 3.02.1993 r. minęła druga rocznica śmierci.



ZBIGNIEW SICIŃSKI

W ostatnich latach, gdy był już na emeryturze, każdą chwilę poświęcał ukochanemu miastu, gdzie się urodził. Swoją miłość do Grodu nad Peltwią chciał przekazać dzieciom i wnukom. Pisał artykuły dotyczące jego historii, organizował spotkania i prelekcje. Był jednym z organizatorów i uczestników Tygodnia Kultury Lwowskiej. Wszystko, by — jak mówił — ocalić od zapomnienia, by pamięć o utraconym mieście nie zaginęła.

W ostatnim dniu swego życia pisał o Lwowie. Na prośbę, żeby odpoczął, powiedział — „już, tylko skończę”. I skończył artykuł — i zaczęły się cierpienia, i przyszedł koniec Jego pracowitego życia.

Gdy zaczął się dzień 3 lutego, odszedł na zawsze.



BERNARD GRZYWACZ

Odszedł od nas (23 I 1993) na wieczny odpoczynek Bernard GRZYWACZ, ps. „Marek”, żołnierz AK oraz dzielny obrońca Lwowa i Kresów Wschodnich, które ukochał nad życie. Urodził się i wychował na Pomorzu, na Ziemi Kaszubskiej. Studia ukończył na politechnice w Warszawie — Wydział Uzbrojenia. W roku 1939 przebywał na praktyce we Francji, ale na wiadomość o wybuchu wojny wrócił do kraju. Niestety, zdążył przybyć tylko do Tarnopola i Lwowa. Walkę z wrogami kontynuował w konspiracji już od grudnia 1939 r. w NOW (Narodowej Organizacji Wojskowej) najpierw w Warszawie, a później w Lublinie. W 1943 r. skierowano go do Lwowa na stanowisko Komendanta Okręgu Lwowskiego NOW. Po scaleniu podziemnych organizacji wojskowych ZWZ (Związek Walki Zbrojnej), NOW oraz Batalionów Chłopskich powstała pod jednolitym dowództwem Armia Krajowa. Bernard Grzywacz został jej oficerem organizacyjnym do spraw partyzantki Okręgu Lwowskiego Armii Krajowej.

Kiedy wojska bolszewickie zajęły powtórnie Lwów latem 1944 r. „Marek” nie opuścił Lwowa, pozostał, by walczyć z agresją bolszewicką i krwawymi bandami ukraińskich nacjonalistów spod znaku UPA. Wydany przez konfidenta został aresztowany przez NKGB na ulicy Lwowa w marcu 1945 r. i zasądzony na karę śmierci, którą — po dwumiesięcznym oczekiwaniu w celi śmierci na jej wykonanie — łaskawie zamieniono na 20 lat katorgi. Wywieziono go więc w okolice Workuty. Po dwunastu latach zwolniony z gułagu „Marek” wrócił do Polski, gdzie pracował w zagłębiu węglowym Górnego Śląska, a następnie w Koninie. Po przejściu na emeryturę osiedlił się we Wrocławiu. Drogo zapłacił za miłość do Lwowa i jego obronę. W naszej pamięci pozostanie na zawsze wzorem wielkiego patrioty i oddania się bez reszty idei walki o Wolność, Niepodległość i Integralność Ojczyzny.

2 stycznia 1993 r. odszedł na wieczną wartę Adam CEGIELSKI, urodzony w Stanisławowie, obrońca Lwowa w 1918 r., członek I Lwowskiej Drużyny Harcerskiej im. T. Kościuszki, odznaczony Krzyżem Obrony Lwowa. Po ukończeniu XI Państwowego Gimnazjum im. J. i A. Śniadeckich we Lwowie i Szkoły Teletechnicznej w Warszawie pracował w Lublinie i Równem Wołyńskim, nadzorując budowy linii telefonicznych. Po wkroczeniu w 1939 r. armii sowieckiej uciekł z rodziną do Lwowa, skąd — po odmowie przyjęcia sowieckiego obywatelstwa — z żoną i trojgiem dzieci został wywieziony 29 VI 1940 r. na Sybir. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej i ogłoszeniu dla Polaków „amnestii” przeniósł się z rodziną do Gruzji. Po ponownej odmowie przyjęcia sowieckiego paszportu i bezskutecznych staraniach dostania się do armii gen. Andersa został w 1943 r. wcielony do dywizji gen. Berlinga I Armii WP. Żona otrzymała paszport dla „osób bez obywatelstwa” z obowiązkiem ustawicznego meldowania się w NKWD. W 1944 r. korzystając z wojskowego urlopu zdrowotnego, z narażeniem życia wywiózł żonę i dzieci do Lublina. Zdemobilizowany, osiedlił się we Wrocławiu, gdzie pracował w swoim zawodzie do 1968 r. Adam CEGIELSKI był bratem zmarłego w 1968 r. obrońcy Lwowa, a następnie zasłużonego artysty teatru — Stanisława.



ADAM CEGIELSKI



**Zadowolony konsument to najlepszy klient
i najpewniejsze oparcie dla kupca**
E. Wedel

E. WEDEL S.A.

ul. Zamoyskiego 30
03-801 Warszawa
tel. 19 50 61
tlx. 81 34 97 irys
fax 19 60 39

Dział Sprzedaży Krajowej

tel. 19 60 30
tel. 19 10 41

Dział Eksportu

tel. 19 49 16

Wedel firmą zadowolonego klienta

Tej dewizie firma pozostaje wierna od 140 lat. Od początku swego istnienia zdobywała zaufanie klientów pierwszorzędną jakością wyrobów. Marka Wedla jest dobrze znana od wielu pokoleń nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Wyroby wedłowskie były zawsze najlepszą wizytówką dobrego smaku nabywcy, dawały niepowtarzalne przeżycia smakowe, co jest zasługą starych, sprawdzonych receptur i niezwyklej solidności w produkcji poszukiwanych, cenionych słodczy.

Firma „E. Wedel” ma długoletnią, bogatą tradycję. Jej początki datują się od przybycia z Berlina do Warszawy w 1845 r. Karola Wedla (1813–1902), który w roku 1851 założył własny zakład wyrobów cukierniczych i czekolady przy ul. Miodowej. Tam też otwarto cukiernię, gdzie podawano — jak piszą kroniki — do pięciuset filiżanek czekolady dziennie.

Syn Karola — Emil Wedel (1841–1919) — przeniósł produkcję na posesję przy ul. Szpitalnej. Na parterze rozpoczęły wkrótce działalność „Staroświecki Sklep” i pijalnia czekolady — czynne do dziś. Częstymi klientami sklepu byli H. Sienkiewicz i B. Prus.

Emil Wedel pierwszy rozpoczął w Polsce produkcję czekolady twardej w kilku gatunkach, co na rynku warszawskim było wówczas nowością. Aby zabezpieczyć się przed zakusami konkurencji E. Wedel zainicjował sygnowanie fascymile swego podpisu, umieszczonego na nalepkach projektowanych przez najlepszych warszawskich grafików.

Największy jednak rozkwit zawdzięcza firma dr. Janowi Wedłowi (1874–1960). W roku 1927 rozpoczęła się budowa przy ul. Zamoyskiego nowej fabryki, czynnej w tym miejscu do dziś. Szybko stała się ona konkurencyjna, o czym świadczy fakt otrzymania już w 1929 r. na Powszechnej Krajowej Wystawie w Poznaniu medalu Grand Prix za jakość wyrobów.

Jan Wedel był wzorem nowoczesnie myślącego, dynamicznego fabrykanta. Był gruntownie wykształcony i znał biegle kilka języków. Fabryka była dla niego wszystkim. Codziennie spędzał w jej murach wiele godzin, doglądając całego procesu produkcji. Piękną kartę zapisał w czasie okupacji niemieckiej, wspomagając hojnie znajdujących się w potrzebie.

Po wyzwoleniu Warszawy pośpieszył natychmiast do zniszczonej stolicy, aby pomóc przy uruchamianiu ukochanej fabryki. Długo nie pozostał w jej murach, gdyż wkrótce usunięto go ze stanowiska. Nigdy potem nie przekroczył już bramy fabryki przy ul. Zamoyskiego. Dr Jan Wedel zmarł 31 marca 1960 r.

Pierwszą partię cukierków wyprodukowano w zniszczonej fabryce w listopadzie 1944 r. W 1949 r. zakład, który miał dotąd status spółdzielczy, przejęło państwo. W rok później nadano mu imię „22 Lipca”. Postanowiono jednak zachować część dawnej nazwy, która pojawiła się na wyrobach jako dopisek „d. E. Wedel”.

W 1960 r. nastąpiło połączenie zakładu z fabryką „Syrena”. Jest to również stara firma, sięgająca tradycjami roku 1829. Fabryka Czekolady, Kakao i Cukrów — Franciszek Fuchs i synowie przez długie lata skutecznie konkurowała z Wedlem. W osiem lat później przyłączono znaną ze świetnych „krówek” Milanowską Fabrykę Cukierków, będącą przed wojną w rękach rodziny Pomorskich. W latach siedemdziesiątych zakład przy ul. Zamoyskiego został w znacznym stopniu zmodernizowany.

Największym osiągnięciem tej dekady było wybudowanie fabryki pieczywa cukierniczego w Płońsku. Jest to dzisiaj jeden z najnowocześniejszych zakładów tej branży w Europie.

Po połączeniu zakładów nastąpiła specjalizacja asortymentowa. Z początkiem 1990 r. rozpoczęły się w Wedlu prace prywatyzacyjne. Z końcem roku staliśmy się jednoosobową spółką Skarbu Państwa, a w sierpniu 1991 r. został podpisany kontrakt o współpracy ze znaną amerykańską firmą PepsiCo. W nadchodzącym czasie E. Wedel SA stanie się firmą zdolną rozwijać się jeszcze bardziej dynamicznie zarówno na rynku krajowym, jak i zagranicznym.

E. Wedel[®]
SA

hutmen s.a.



ul. Grabiszyńska 241
50-987 WROCŁAW

tel. 61-46-31, tlx 0715551, 0715552 fax 61-55-21

OFERUJE:

- pręty i rury z miedzi, mosiądzów i brązów
- rury miedziane do instalacji wodnych
- brązy, mosiądze odlewnicze w postaci gasek
- stopy łożyskowe, drukarskie, niskotopliwe
- stopy wstępne miedzi
- spoiwa cynowo-ołowiowe w gaskach, prętach, drutach o wymiarach 0,25–4,0 mm – pełne lub z pięciożyłowym topnikiem.

SKUPUJE:

- złomy metali kolorowych

ZAPRASZAMY

do naszego Sklepu Firmowego
tel. wew. 16-22

RAPORT



DOLNOŚLĄSKI

Najbardziej klasyczne
czasopismo regionalne
w Polsce

*

O kresach pisze Leszek Wierzejski

Nr 3/93 i następne...